

JAN PRZYBYŚLAW MAJEWSKI

W i e r s z e

Z ZIEMI I Z OBŁOKÓW

DO MOJEJ CIEKAWOŚCI

Dopóki nie dorosłem
codziennie wybiegałaś ze mnie
moja ciekawości
coraz śmielej i dalej przez otwory źrenic

I nie zdarzyło się ni razu
abyś mi nie przyniosła jakiegoś motywu
stamtąd – gdzie byłaś – na zamyślenie
albo na czynność

Kiedy mnie napełniłaś
powyżej oczu
uzbieranymi fragmentami świata
powiedziałaś: Dosyć

Chyba nie spodziewałaś się
że ich porządkowanie zajmie resztę życia –
Polubiłaś tę pracę – śledząc – jak dojrzewam w miarę
powstawania ładu

O niestrudzona – dzisiaj – pod kopułą nieba
inaugurujesz we mnie
pomnik muzeum – przechowalnię
zapomnianych rzeczy

Urządzasz mnie tak
jak gdybyś miała niezachwianą pewność
że to wszystko coś wniosła – cały ja
potrwa o wiele dłużej

niż dom podwórze słońce ziemia –
Zobowiązany twoją postawą
patrzę bez trwogi na gasnącą zorzę
za którą się ukrywa wielka niewiadoma

WIDZENIE

Był taki moment w moim życiu
jak błyskawica – w blasku którego
nikło
każde żywe stworzenie na które spojrzałem
a w jego miejscu klębił się niby-dym

Również i ja –
kiedy mnie przeniknęła
ta prędką jasność
stałem się czymś podobnym do przyciemnionego
ziemią – wiru niby-iskierek

I równie nagle to niezwykle światło
przede mną się otworzyło
jak płonące drzwi
wraz ze stojącą w ogniu futryn
grzmiącą postacią głosu

I usłyszałem: – Oto ci dano
ujrzeć życie we mgnieniu zupełnie inaczej –
Patrzysz człowieku na odwieczną
niezniszczalną energię
wciąż buzującą w nikczemnej powłoce

Natychmiast po tych ognistych słowach
zimny wicher atomów
zatrzasnął z hukiem gorejące wrota –
– I spoglądałem znów
na zwykłą formę żywych stworzeń

która w nigdy nie wyciszonym echu
owej grzmiącej prze-mowy – cichej jak szelest zórz
wydała się w przyziemnej skali
mojego wzroku
znacznie piękniejsza niż wpierw

KUKUŁKA

Bociani klekot przykuwa do chaty
dudnienie dudka wikła w gąszcze
gdzieś nieopodal –
Tylko kukułka pełna wiosennego śmiechu
otwiera swym donośnym głosem
przestrzeń na dal

Każdym – kto się wsłucha w jej zew
rychło owłada wędrowny popęd
– Lecz gdy posłuszny ptasiej woli
zapyta: Dokąd –
ten ptak mu na to nigdy nie udzieli
odpowiedzi

Jedynie z coraz dalszego drzewa
usłyszysz coraz bardziej naglące kukanie:
Idź dalej – dalej
– A kiedy wreszcie umilknie kukułka
bór się nastroszy głuchą ciszą –
uprowadzony już nie rozpozna

ani gdzie się znajduje – ani pory roku
ani drogi do domu
– I choćby nawet doczekał się z nową
wiosną – powrotu kukułki
ona mu nie pomoże: – znów będzie z oddali
kukać jak dawniej: Idź dalej – dalej

TYCH DWOJE

Niczego nie zmieniły wieki:
w każdym momencie można napotkać tych dwoje
co jeszcze wczoraj by nie uwierzyli
w to – co nazajutrz ich spotka –
Wyśmieliby wróżby

Bo moment zakochania ukrywa się nieraz
w czasie – tak jakby pragnął
przez zaskoczenie
wpierw olśnić wzrok – zanim radością
napęlni oba zaskoczone serca

Czasem wystarczy przelotne spojrzenie
gest brzmienie głosu nastrój chwili –
i już miłosny duet
jak na wiosennych skrzydłach wiatru
dociera naraz w wszystkie zakamarki świata

Błogość zauroczenia
całkiem wypiera codzienną oschłość:
– miłości się nie odczuwa
jest jak oddech –
A gdy ktoś spotka na swej drodze

tych dwoje – i zapyta: Kto idzie –
żaden mu dwugłos na to nie odpowie:
To my – lecz tylko jeden rozradowany głos
odkrzyknie mu: Ja idę

jakby zewsząd po rosie ptak czy dzwon zaśpiewał
i zapadł w słodką drzemkę –
Niczego nie zmieniły wieki
poza tym: że coraz bardziej samotny
człowiek – łatwiej się godzi na namiastkę szczęścia

OBRAZ POŻEGNAŃ

Byłem wtedy chłopcem
i zupełnie nie zdawałem sobie
sprawy z tego – że
to – na co patrzę niemal obojętnie
utrwali się w mej pamięci
jako alegoryczny obraz
niezliczonych pożegnań

Po dziś dzień – gdy gdzieś
padnie to słowo: p o ż e g n a n i e –
natychmiast z jej engramów wyłania się
pochmurny dzień
bezludny dworzec PKP –
i zimny wiatr – błakający się na
opustoszałym szarym wilgotnym od pluchy
beznadziejnym peronie

– I na to hasło
za każdym razem jak na zawołanie –
czujna pamięć mi jeszcze pokazuje lśniące
pasma szyn – i znikający w dali
pociąg

Mnie nie ma –
Tylko na końcu peronu majaczy
w mgławej otoczce smutku nieznajoma postać
powiewająca wciąż i wciąż białą
chusteczką – jakby
w geście poddania się losowi –
lub puszczająca z dłoni gołębia-posłańca
ze spóźnionym okrzykiem:
Wróc

I na tym – jak nic nigdy więcej
przejmującym fragmencie
zanika obraz ten – i gaśnie pamięć
wszystkich pożegnań jakie kiedykolwiek miały
miejsce na ziemi

GROMADNIE I POJEDYNCZO

Nie prędko jeszcze –
może i z milion lat trzeba będzie
dalszego ciągu ewolucji
zanim w gromadnym człowieku dojrzeje
człowiek – w pełni

Dla tych którzy zbadają
już zakończone ludzkie dzieje –
zapewne pierwszym i ostatnim znakiem
owej dojrzałości będzie
wygaśnięcie wojen

Ale patrz:

– bo oto w nieprzebrany tłumie
rozwijających się w mroku pokoleń
jeden już dziś –
i wcale nie umarły ale bardziej żywy

– a patrząc bystro wzdłuż szeregu
wzrok odnajduje coraz więcej takich
co jakby przecząc prawom natury –
zatrzymując się
o wieki wyprzedzają dramatyczny pochód

Siedzą odpoczywają
ocierają pot z utrudzonych czoł –
i zaciągając się błękitnym dymem
z legendarnej fajki pokoju
spokojnie oczekują – tkwiąc – na pozostałych

PIOSENKA O IKARZE

Od rana pełno wiatru w pokojach
i dziwna jasność w mieszkaniu i w głowie
– przewiewnie tak –
Dom zda się płynąć w przestronną dal
na białej fali światła

Lekkim snem napełnione – uwolnione od trosk
ciało
lewituje jak piórko pod sufit
– Znika na chwilę czucie własnych granic:
sam w przestrzeni jak ptak

krąży dumnie
póki go nie dopadnie ostra strzała trwogi –
nie strąci na bruk
– Cóż z tego że jeszcze żyje
znowu pod prąd – pod wiatr

Czy widziałeś Ikara
pytają
– Potakuje bolesnym szeptem:
Sam nim jestem
za chwilę lotu skazany na ziemię

Od rana wieje
– pełno wiatru w pokojach
przedziwna jasność między kolumnami –
Skrzydeł nikt nie porusza:
leżą jak szczątki ptaka pod wawrzynem

wpatrzone w swój legendarny
podobłoczny lot
– Pełno wiatru w pokojach
gwałtowny przybój świetlistej przestrzeni –
Przewiewnie tak

NIE ZŁAPIESZ – NIE ZATRZYMASZ

Spójrz – pamięć jest jak woda
w brzegach milczenia
której głębinę zdradza spokój toni

Wspomnienie jest jak ryba która nagle błysnie
wzbudzi krąg fali – natychmiast zgaśnie –
Nie złowisz – nie zatrzymasz

Tylko w tej fali póki nie zniknie
możesz zobaczyć dawne z bliska
rybaku wierny odległej chwili

Widok nie potrwa długo
choćbyś go wiązał do dziś przymilnym uśmiechem
wstrzymywał smutkiem – skrapiał łzami

Nie próbuj nawet –
Popatrz – i zwróć go pamiętliwej wodzie
namaść zmarszczone tonie spokojem

Tak będzie lepiej dla was obu
rozstać się bezboleśnie
tutaj – na skraju czasu co wciąż płynąc dalej

ustanowił dwa
bezkolizyjne nietrwałe ośrodki
dla twego teraz i dla wspomnień

Mój rybaku –
mój leciwy rybaku – spójrz:
oto błysnęła rybka i zniknęła w głębi

TRZY MOGIŁY

Wspomnienie odnalazło ten widok –
Stary fragment cmentarza tonął już w wieczornym
cieniu – Tylko nad nową kwaterą
gdzie od niedawna były trzy grobowce
i jeden świeżo wykopany dół –
oczekujący
– tylko nad tą kwaterą mieniła się jeszcze
blaskami zorza

I oto znowu oglądam w wspomnieniu
drżące w tanecznym wirze biodra
dwa bliźniaczków tancerek
– Obie zginęły przed wielu laty
w płonącym samolocie –
Pacyfik jest ich kolebiącą trumną

Nad drugim grobem widnieje
ramię – zgięty pod mleczną piersią młodej matki
podnózek dla stóp noworodka
–: Zmarła zanim zdążyła nakarmić
swe pierworodne dziecko –
Tu miejsce jej spoczynku z zorzą u wezgłowia

Nad trzecim grobem pusto: – kochankowie
których miłośnie w obliczu śmierci
splecione ciała
zdmuchnęła z czasu ołowiana salwa
szybko umknęli stąd w poemat
– Jakże tu swojsko:
cisza jak nikły zapach zaszuszonej wiązki
wrzосу

coś niby babie lato
skrzydło motyla – niezmacony spokój
– Zmierzch spływa lekko – otula głowę –
Wcale się nie chce opuszczać wspomnienia
powracać do siebie
czekać na jutro

ZAWILCE

Któż by pomyślał:
Zawilce miarą czułości serca –
I kto by pojął że ten żywy
niby-śnieg
to najwrażliwsze czułki wiosennego boru

Czy kukułka wie o tym –
czy śpiewa o tym nowonarodzony
po zimie wiatr

Czy ktoś spodziewa się
że ten z pozoru szorstki człowiek
zatrzyma się i szepnie – jakby mimowoli:
Nie mogę zdeptać ich – i zawróci

Czy ktoś to kiedykolwiek
ujął tak – zanim przekwitłyście
o anemony –
Czy niechący zrozumiał

KROWY

Czyż trzeba pytać czyja troska
stworzyła krowy
– chociażby tę tu – która leżąc w trawie
z wolna przeżuwa czas
podobna w tej czynności do polnego głazu

Wieki przechodzą przez jej zuchwę
starte na pył
– i tylko jedna chwila
zawisa nad nią jako nieuchwytnie teraz –
cichy zgrzyt świerszcza

O – nikt się nie doliczy
ile zamierzchłych tysiącleci
potrzeba było na
pełny dzban mleka –
ile cierpliwie wykoszonej łąki

Kiedy się słońce zaćmi wieczorem
podźwignie się stworzenie razem z okolicą –
i powracając do obory starożytnym traktem
przeleje ją – zaczarowaną w nektar
w spragnione dłonie dojarki

Jak gwiazda przemknie przez krowie oczy
odległa przeszłość – i ciepłe mleko niczym biały obłok
tryśnie w czerep garnka –
Ciekła manna popłynie przez głodne epoki

ZŁUDNE PODOBIENSTWO

Wiosna po wielu zimach całkiem jakby tamta
– niezapomniana –
znowu rozkwita żółto i liliowo
na tle zieleni pod obłokami

I wiatr podobny do dawnego
powtarza bieg na przełaj –
Bliźniacza ścieżka wiję się się skrętami
tak jak przed laty ku południowi

Strumyk co dawno wysechł wciąż płynie jak dawniej
i cisza na rozstajach – jak tam
leży odłogiem –
Brzozy wciąż świecą o zachodzie słońca

Wszystko się zgadza oprócz dat:
– tej co niegdyś wryta
niżej dwu serc na korze stuletniego dębu
z tą terazniejszą

Miejsce niby to samo
lecz całkiem inna czasu okolica –
Nikt się tu nie oznajmia – ani
nikt nikogo nie wita – nikt nie żegna z płaczem

ZJAWA

Choć upłynęło już kilka dni
od chwili kiedy ujrzałem tę postać
tuż po obudzeniu –
stojącą nieruchomo przy krawędzi mego
łóżka

wciąż się nie mogę otrząsnąć
z porażającego wrażenia – jakie
uczyniła na mnie
– Był to niby-mężczyzna w szarym garniturze –
coś jak rzeźba z grafitu

przerazająco obca chłodna
obojętna
lecz jakby napełniona przytłumionym żarem –
Ten niby-człowiek milczał
nie patrzył na mnie – Patrzył w bezgraniczną

dal – i przenikał ją na wskroś
swym mrozącym
pełnym tłumionej grozy spojrzeniem –
Jego okrągłe ptasie matowozielone oczy
wprawiały w drżenie ziemię i świat

Do dziś nie umiem odgadnąć kim był:
czy śmiercią – czy kimś bardziej straszonym –
Kimś – kto na mgnienie zerwał
zasłonę czasu – aby mi oznajmić
co – Przypomnieć o czym

BALLADA O IGLE

O igle do szycia
zwykle na chwilę robi się głośno
kiedy niechcący do krwi
ukłuje palec

Z natury skromna i raczej nieśmiała
nigdy się nie przechwala swoim
zacnym rodowodem
który początkiem sięga lodowcowej ery

To w tamtym zamierzchłym czasie
kobiety nauczyły się zszywać
zwierzęce skóry przy pomocy
rybich ości

Dzisiejsza igła – niezwykle szczupła
z pozoru nie do poważniejszej pracy –
w rzeczywistości dorównuje
najlepszym pomocnikom

Ileż sprawia kłopotu – ile zamieszania
kiedy się zgubi
– ile radości gdy się odnajdzie
tak nikła w wielkim stogu siana

Tylko tych kobiet nikt już nie odszuka
co po omacku nawlekały
nić do cerowania
dziurawych skarpet mężów i dzieci

GOŚCIE

Zapada zmierzch – gasną pokoje
krajobraz znika z oczu
– za oknem krzepnie tajemna cisza –
Tylko drzwi obdarzone mechanicznym głosem
mówią za głuchoniemych domowników:
Odejdź lub Proszę

Sen nie puka:
w miękkich jak kocie łapy pantoflach
nie mącąc ciszy –
wchodzi z sierpem księżycy na zwichrzonej głowie
– i z przepowiednią ukrytą w dłoni
siada obok wezglowia

Opowiada maluchom kolorowe baśni
wymienia z nimi przyjazne uśmiechy –
Zakochanej dziewczynie na serdeczny palec
wkłada zaręczynowy
pierścionek – kładzie na lica
pąsowy makijaż

Znużonym starcom przywraca młodość
zdejmuje z piersi zmoreę
– Znowu biegną przez lato za złotym motylem
wirują w walcu na swym pierwszym balu –
wchodzą parami – jak przed laty
w dorosłe życie

O świcie sen ich dyskretnie opuszcza
tą samą drogą którą wszedł wczoraj –
Pokoje milczą – z wolna
rozjaśniają się
– Drzwi po chwili wahania mówią komuś: Proszę –
Wchodzi szara codzienność

ŻYCIE I ZIEMIA

Ledwo domyślam się
co miał na myśli Thomas Merton
w tej chwili – kiedy z naciskiem napisał:
Jestem ziemią

Natomiast bez żadnego trudu
nie tylko zrozumiałem –
lecz również jasno zobaczyłem rację
starego rolnika

gdy pokazując mi swe poletka
rzekł tak po prostu
ani to do mnie – ni do siebie:
To całe moje życie

I nie zdziwiło mnie –
podówczas chłopca
kiedy odkrywszy głębszą warstwę gleby
powiedział o niej: To moja przeszłość

I pokazał mi – jak z niej wschodzą –
i przebijają się na powierzchnię
uprawnego gruntu
chwasty i zboża

Taką odziedziczyłem – dodał
– Niczego więcej nie musiał tłumaczyć –
Z przerażeniem ujrzałem jak na mej chłopięcej
działce

bujnie rozrastał się perz –
i dławił na mych oczach różę
posadzoną ręką mej drogiej matki
przed laty – u zarania mojej nieznannej przyszłości

Wokół mnie klęczały kobiety
– i nieprzerwanie pełły
co dzień na nowo zachwaszczoną ziemię
pod gorejącym na niebie słońcem

ŻUK

Leżałem na trawniku
opalałem się –
powietrze było nieruchome

Z kreciego kopca zsunął się niezgrabnie
nieduży żuk
i ruszył z wolna w moim kierunku

Nie było w tym nic niezwykłego
– tyle że w pełnym słońcu dokładnie widziałem
szczegóły jego ciała

Tak – nie było w tym nic niezwykłego
póki nie zaczął gwałtownie rósć –
przeobrażać się

Jego odnóża wkrótce
przemieniły się w gąsienice czołgu
– zachrzęściły

Z ślepi wytrysnęły pociski –
Przez moment wielka miazdząca bryła
zawisała groźnie ponad moją głową

Ach – nie stało się nic: :
obezwładnił ją odpływ wspomnienia –
i wkrótce znowu mały lśniący niezgrabny żuk

przemierzał trawnik
ale już w całkiem przeciwnym kierunku

WYROK NA CIAŁO

Odbicie w wielkim lustrze
odziedziczonym po rodzicach
nie pozostawia najmniejszych złudzeń:
ciało którego niegdyś – kiedy było młode
prawie nie czułem
dawno należy do przeszłości

Teraz to zmięty przenoszony ubiór
co najwyżej
jeszcze na kilka lat –
W dość dobrym stanie zachowały się
dwa nieodzowne centra:
serce i mózg – z których bez przerwy

rozprzestrzenia się w eter to – czego nie można
zmierzyć ni zważyć
Zastanawiam się – rozpatrując wszystkie
za i przeciw:
czy mam ci być wdzięczny – ciało
czy przeciwnie – żywić urazę

Tymczasem lustrzane
odbicie mych ust –
po ukradkowym porozumieniu się
z odbitym w toni lustra wzrokiem
ogłasza prawomocny wyrok wraz z uzasadnieniem:
Było najlepszym odzieniem

na podróż po ziemi
– Przyjmuję wyrok i wobec bliskiego
rozstania z tobą – ja: – ktoś całkiem
sobie nieznany
z niekłamana wdzięcznością i szczerym wzruszeniem
dziękuję tobie ciało

ROCZNICA

Każdą rocznicę utracenia
przed dwudziestoma laty podczas wojny
najbliższej mu osoby – starszy pan z sąsiedztwa
obchodził bardzo uroczyście
na ocalałym z budowniczej hossy
mocno już oklapniętym – łysym
pagórku z gruzów
– Nikt dokładnie nie wiedział
co się w tym miejscu przed laty stało
lub – jeśli wiedział – starał się zapomnieć

Przyjeżdżał zawsze pierwszym porannym tramwajem
i wprost z przystanku podchodził z wolna
do rumowiska
– Zapalał świece – składał kwiaty
oddawał cześć okrągłą minutą milczenia –
Tuż przed odejściem wypowiadał szeptem
jakby z proroków księgi wziętą
maksymę:
„Nic się nie może stać więcej w miejscu
gdzie już się wszystko dobro i zło dokonało”

Dwudziestą pierwszą rocznicę opuścił
– następne też –
Uliczna plotka doniosła że zmarł
– A tu – gdzie niegdyś szeptem rozmawiał co roku
z bliską osobą – składał kwiaty –
czas zrobił swoje:
osieroczone wzgórze zrównało się z ziemią
i nędzny kundel pozbawiony domu
wygrzebał zeń
ludzką – nie-ludzką kość

BRZozowe wieczory

Inne wieczory są pośród brzoZ
niZ gdzie indziej –
O jakZe byłem zakłopotany
wóWczas – gdy po raz pierwszy spostrzegłem tę inność
nie wiedząc na czym konkretnie polega

Czy kolory – głoSy –
Nie od razu objawia się
nieuchwytnie
– Wiele razy musiałem błądzić pośród żywej
bieli – o każdej porze dnia i roku

zanim udało mi się dokładnie
ustalić w czym rzecz –
Niewiele tego – a przecież
o ileZ inny czar i piękno
i – odczucie

Zawsze to było raczej
słabością zmysłów niZ tajemnicą:
– nieco różowsza niZ gdzie indziej zorza
troszeczkę bardziej błękitny zmierzch –
bledsza cisza

Tyle znalazłem w tobie
odrębnej treści
pilnie składając ją przy księżycu
z najmniejszych odrobinek – o olśniewająca
upiorną bielą pośród cienia nocy

i jasnym blaskiem o poranku
jakby od święta – kolumnado brzoZ

OSTATNIE ŻYCZENIE CASANOVY

Odwieczny łowca już blisko:
tak sędzę – gdyż
coraz częściej nachodzi mnie myśl
że któraś z was – moje piękne panie
powinna jednak mocno trzymać mnie za rękę
gdy przyjdzie pora

Chciałbym żeby to była
ta spośród – co najwięcej przeze mnie płakała
– Osądź mnie pani za to że nie byłem nigdy
surowym panem własnego serca –
Wybacz mu – bowiem – chociaż tak niestale
zawsze kochało szczerze w wielu tylko jedną

Choć winne – ale czule
każdą pieśczętę zapamiętało –
Więc pani – która najwięcej wylałaś
z jego powodu łez
przemyc dziś w twojej małej dłoni
j e d n ą z n i c h – tak jak przed laty przemyciłaś list

Czeka nas długa droga
za oknem stoi szkarłatna karetka
z podków spadają iskry na bruk –
Ogień jeszcze nie wygasł – mimo że twe imię
z zaułków ciemnej nocy
przywołuje śmierć

BEZŚNIEŻNA ZIMA

Pamiętam taką:

– nie zaproszyła się ni jedna śnieżka
po grudzie poszło Boże Narodzenie
i Nowy rok

W mroźnym słońcu czerniały
ogołoczone z liści drzewa –
w konarach których tej zimy ni razu
nie świsnął wiatr

W lodowatej przestrzeni chyłkiem przemykały
– nie zostawiając śladów na łysej
twardej zmarzlinie
zwierzęce zjawy – nie wiedząc czy mają

cieszyć się czy smucić
– Cicho dzwoniła skostniała ziemia
pod racicami –
w bezchmurne niebo sterczały korzenie

W sercach narastał niepokój
po wsiach krążyły ciemne wróżby
– niepotrzebne:
pod koniec marca spadł obfity śnieg

zaiskrzyły się pola
– I zadał wicher w jelenie poroża
na żart – czy na drwinę –
czy na spóźnione powitanie

OKUPACYJNY EPIZOD

Przejechał samochód
psy zaszczeły wzdłuż ulicy –
Przestrach oniemił gardła:
Po kogo dziś

Czy to rosa czy pot
pokrył o świcie uśpioną ziemię –
Nagły pisk opon
przed domem nauczycielki: – To po nią

Wrzask cisza wrzask:
Wyskoczyła przez okno – Za nią krótka seria:
splunięcie automatu –
Drgające ciało na murawie

czerwone morze
– I znowu: wrzask cisza wrzask
ordynarne przekleństwa w języku nadludzi:
Verflucht dreck schweine

Uciekła przepióreczka – pani
od polskiego
– Poszwargotali odjechali –
Ulicą przemknęło westchnienie ulgi

Zadzwoił ptak
ktoś cicho zapłakał –
Mocno zacisnęły się
nieubłagane pięści zemsty

Bóg był daleko –
bardzo daleko od ludzkich serc

OŚWIECENIE KULISA

Wielkie święto – wielka rocznica:
odświętny połysk pompa muzyka –
łopocą flagi – Wolny od pracy dzień
napętnia się jak szkolna przerwa
ogłuszającą wrzawą

Wystarcza tłumom chwila swobody
– Reprezentanci kolejnego
reżimu
sławiają na podiach dawny wiekopomny sukces –
na dzisiaj odkurzony

Uroczyste imprezy zabawy
race
– dziękczynne modły w niebo po świątyniach –
Życzenia wszelkiej pomyślności
i niemniej epokowych jak to przypomniane

osiągnięć w życiu –
Tylko jakiś buddyjski mnich
całkiem czego innego życzy kulisowi:
– Zapomnij żeś człowiekiem
albowiem tylko w bydlęcej postaci

wśród tego uniesienia – i tej
uroczystej farsy
– ciągnąc swą riksę z nadętym głupcem –
możesz się poczuć jak te tłumy
choćby przez moment szczęśliwym stworzeniem

MIŁOŚĆ ZNIKA I WRACA

Mijają dni i noce
mijają wieki –
W proch rozsypują się uniesione
przez krótką chwilę w b e z g r a n i c z n o ś ć
oddzielne – raptem zjednoczone ciała

A oto wkrótce w nowym wydaniu
znajdując w prochach iskrę –
znowu pędzą ku sobie obce i samotne
póki jej razem nie rozniecą
w olśniewający ciemne światy pożar

O – właśnie wtedy wraz z westchnieniem
bezbrzeżnej ulgi
na krótkotrwały moment współdoznania
znika miłość –
bo po cóż by pragnienie w chwili posiadania

Wróci natychmiast – kiedy tylko
ochłodną ciała
aby je wprawić znów w miłosny pęd
jak przedtem obce sobie i samotne
nim się obrócą w nieczuły pył

WEJŚCIE W OCEAN

Julii Hartwig

Nie wtedy wchodzi w ciebie oceanie
człowiek – kiedy zanurzy w tobie swoje stopy
ni – gdy poczuje twój chłód na biodrze –
A nawet i nie wtedy
kiedy mu parskaś w usta pianą
gdy tonie

On wchodzi w ciebie jedynie z tą chwilą
w której w swym wnętrzu zbudzi uśpione
dorównujące twoim potężne żywioły –
pozostawiając na słonecznej plaży
resztę siebie
aby nie przeszkadzała w niczym

Sztorm trafi na sztorm
wzburzona fala na wzburzoną falę
mrukliwa głąb na mrukliwą głąb
wir na wir – porywcze prądy
na porywcze prądy
słona piana na słoną pianę – rozjuszony

ryk na rozjuszony ryk –
Tylko tak może dokonać się
prawdziwe wejście człowieka w ocean
jak rozognionej głowni w lodowate wody
z zamierającym sykiem –
Naraz otworzą się wszystkie bramy

Po czym już tylko toń uspokojona
jak okiem sięgnąć pod pogodnym niebem –
i porzucona gdzieś na zapomnianym brzegu
już niepotrzebna
– być może nigdy nieistniejąca
w r z e c z y w i s t o ś c i reszta siebie

OBCA ZIEMIA

Tak-śmy przywarli do ciebie ziemio
że nie czujemy cię więcej niż mały
skrawek
to tu – to tam – pod nieuważnymi
wciąż spieszącymi gdzieś stopami

I wzrok nie sięga poza
ciasny horyzont –
ani cię sercem nie obejmujemy
szerzej niż dom nasz i grobowiec
dalej niż postój w nieznanym miejscu

Najprzenikliwsze myśli ledwie dotknąwszy twojej
szorstkiej powierzchni –
jakby odbite od trampoliny
mkną ku gwiazdom – wikłają
w abstrakcji

A ty – przesiewana
na przemian poprzez czułą kolebkę
zręby mogiły
– wciąż wypadając z sztywnych rozpaczliwych objęć
ciężką kulą z kamienia

zupełnie obca – i nigdy naprawdę
nie przystająca do człowieka –
pochowasz w sobie tylko przenoszone stroje
po kimś – komu się przewidziało że
już był tu kiedyś w jakimś śnie przygodnym

DWA OBLICZA POGAŃSTWA

Urzekła starożytna Grecja
świat na tysiąclecia
swoim baśniowym – wyrafinowanym
zaklętym w mity pogaństwem

Nie oparł mu się Rzym – a nawet (w pewnej mierze)
wpatrzony w swego Boga
Izrael –
I mimo że chrześcijaństwo

położyło tamę –
pogański sen Hellady wciąż przez nią przeciekał
strugą dziecięcej wyobraźni
na jakże mu odległe – w przyszłym czasie

plenne wieki
– Ilu biskupów obok brewiarza
wpatrywało się w Dianę –
ilu poetów rwało dionizejskie grona

Wobec tej dziecinady
tak rozigranej niegdyś w pełnej słońca
helleńskiej duszy – wciąż jakby ciszej brzmia
słowa zakazu:

Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną
– Słucham przerażony –
bo choć współczesny świat już prawie
całkiem zapomniał puste olimpijskie bóstwa

stworzone przez człowieka
na własny obraz i podobieństwo –
powstają nowe
nieporównanie od tamtych groźniejsze

Oto już nie obrazek tylko
ale samego siebie na najwyższym tronie
sadowi człowiek
i sobie-bogu odaje cześć boską

Cóż jeszcze więcej patrząc na tę
straszłą głupotę –
i zaślepioną zuchwałość trupów
można powiedzieć

NEONOWA ULICA

Neonowa ulica
ma znacznie przyspieszony puls –
Gorączkuje ziaje
co raz opuszcza unosi powieki

Jej migotliwe ciało z żelbetu
jest ciepłe suche –
Jedynie łapy zaryte w podziemiach
są chłodne jak zroszone głązy

Przez wirujący kołowrót wnętrza
wciąż się przelewa ludzkie niespokojne mrowie
– Skupia się w lustrach witryn
i gra piskliwie na klaksonach
błędnych pojazdów żalobny gospel

Kiedy o brzasku powiew strąca z nieba gwiazdy
neonowa ulica gaśnie
wycisza się – pustoszeje

Zaranny chłód studzi
rozpalone dyszące żelbetowe ciało:
nieruchomieją otwarte powieki –
w zmrużonych oczach wschodzi słońce

Gasną neony
– z ich powidoku jak z kalkomanii
wyłaniają się na dzień
nachalne szyldy śmieci – oklapnięte drzewa

BŁĄDZĄC WZROKIEM

Adrianie Szymańskiej

Bezwietrzna przestrzeń – czyste niebo
błądziłem wzrokiem po tym co najbliższe –
Moje spojrzenie powoływało
do zaistnienia
to – czego nigdy przedtem w tym miejscu nie było
lub tylko domniemane:
białe kolumny – tęczowe fontanny

Nic nie uszło uwadze – mieniły się w oczach
choćby najmniejsze odpryski barw
ukryte dźwięki zdradzała noc –
Nagle wstawały z martwych
od dawna w baśniach zaginione formy

a nawet jeśli żyły
gdzieś poza moim wyteżonym wzrokiem
cóż mogły ważyć – nie ocucione
łzami zachwyty
ani nie potwierdzone przez pierwotne źródło
skąd wschodzi słońca –
i każda chwila odcień bierze

Jestem tam nadal – patrzę:
słoneczny zegar odlicza godziny
cicho zapada zmierzch
– Ciemniej oczy –
Stają się ćmy puszczyki gwiazdy

SKĄD WIEDZIAŁEM

Rzecz to nie bohaterska
jeśli się wie – że nic groźnego
się nie wydarzy
– a ja – nie wiedząc skąd – wiedziałem

Wpadli żandarmi z trzaskiem do wagonu
i – wyobraźcie sobie – już mieli w swych łapach
rzeczowy dowód mojej zbrodni: –
paczkę z podziemną prasą

Przewoziłem ją ze stolicy mego
podbitego kraju –
na chciwą zakazanych wieści
prowincję

Skrzepiony owym – nie wiadomo skąd
poczuciem bezpieczeństwa – wyszczerzyłem do nich
w uśmiechu zęby –
Krótka była rozmowa – spytali: Was ist da

stukając w paczkę – Odpowiedziałem:
Moje szpitalne ciuchy po tyfusie
- Verflucht – i ze wstrętem
cisnęli pakunkiem prosto w moją twarz

To po raz pierwszy wtedy
spotkałem mego anioła stróża –
Gdyby nie on – lecz to dotarło do mnie
znacznie później

DIPLOPIA

On patrzy na mnie z obu stron naraz:
z zewnątrz i z mego wnętrza –
Z każdego punktu który nie jest
tym – czym się zdaje być złudzoną zmysłom

I ja Go również widzę dwojako
jakby na co dzień i od święta
pośród chaosu zjawisk metafor i rzeczy
tych co są we mnie – tych których nie mieszczę

Nazwałem je tak jak się nazywa
to co trwałe i pewne –
a w idealnym założeniu żywe:
Jego przesłanie w niczym – we mnie

Tylko kradnąc czas śmierci
póki On nie położy swej dłoni na światach
mogę uśmierzyć mój niepokój o to
czemu nadałem puste imię

by zatuszować nim
w tym dwuwidzeniu poprzez mgławicę pozorów
bezkresny obszar mojej niewiedzy
o Nim – o sobie –

A b y z a u f a ć i u w i e r z y ć

POGWARKI O ŚNIEŻNEJ PANI

Julii Hartwig

Jest trakt szeroki
z gorącego południa
długi na przeszło dwa tysiące lat –
przebiegający przez wszystkie klimaty
w nieskończoność

Tym traktem do nas przed wiekami
– jak i gdzie indziej
przybyła Matka Boska z dzieciątkiem w ramionach
aby osiąść na stałe w naszej
północnej krainie

Jakże da sobie radę – mruknął żubr do kruka
tu – gdzie od mrozu pękają drzewa
nieszczęśni błędzą i giną w zawiejach
kostnieją ręce – a wicher
przenika ściany chat

Nie martw się o Nią żubrze
ale uważnie wpatruj się w czas –
albowiem Ona naraz w wszystkich źródłach świata
odbita zmienną twarzą
wszędzie i zawsze jest tylko jedna

Przy Niej nie ma już czasu – znikły pory roku
i chociaż zwą Ją Ś n i e ż n ą
Jej serce płonie jak poranna zorza –
Tam traktem spieszą trzej królowie do
stajni w Betlejem

Tam dalej biegają do Niej przez pola pasterze
z trzodą muzyką śpiewem – W górze
wciąż na atłasie ciemności świeci
przewodnia gwiazda –
Złote anioły w szarym tłumie

Zegnij kolana żubrze przed świętym obrazem
bo jeśli nie mamy dusz
– to jednak gdyśmy raz tutaj wpuszczeni
leśni i dzicy gdzie Śnieżna Pani –
nasza pokora przy niej na zawsze zostanie

Zegnij kolana żubrze
rzecze stary kruk

TRESURA CIAŁ

Prawdziwa tresura ciał
to coś o wiele więcej – niż kiedy
powie się: Dobrze ułożona
fryzura

Z prawdziwą po raz pierwszy spotkałem się w cyrku
jeszcze jako małolat –
i odtąd zawsze kojarzyła mi się
z pojęciem kunsztu i ryzyka

Wytresowane ciała akrobatów
o milimetr – o mgnienie od śmierci
– Samo wspomnienie zapiera dech
nawet po latach

Ale z najwyższą szkołą tresury
można zapoznać się jedynie w wojsku –
gdzie już się z góry zakłada
taką kondycję ciał

aby się mogły zmierzyć bezpośrednio
z pociskiem – zginąć bez jęku –
hardo wpatrzone ostatnim rzutem
spojrzeń – w gasnące słońce

I gdy na widok takiej ekstremalnej
sprawności – moje mdłe ciało
truchleje – nie pojmuję dlaczego w tym czasie
myśli me kipią wzgardą

MARZEC JAK PISANKA

Marzec jest jak pisanka
– na której
dzisiaj splukane deszczem barwy
jutro zastąpią inne – i choć też nietrwale
coraz piękniejsze bliżej Wielkanocy

Wszystkie żywioty martwe i żywe
czerpiąc wosk z dopiero co
zbudzonych pasiek –
szkicują nim swe wzory na marcu-pisance
dziecięcą ręką

Zielone niwy pokrywają pola
sypią się kwiaty – połyskują
wierzbowe kotki
– porywczę wiatry marszczą kałuże –
Raz słońce a raz chmura

A choć się na tej marcowej pisance
tak wszystko naraz miota kotłuje przewiewa
– już można wyczuć w tym chaosie
ład i spokój –
jak po okrutnej śmierci zmartwychwstanie boże

Czyżby na tobie marcu
ktoś niewidzialną ale biegłą ręką –
jak na pisance dziejów zapisał ten właśnie
najbardziej przełomowy fragment
Ewangelii – i spoczął w zaciszu

MYŚLĄC O ERICE

Trudna jest miłość która chce
– mimo niepodobieństwa
przemienić troglodytę w czulego kochanka

Myślę o Ewie Braun – dziewczynce:
– Czy przeczuwała swój los przy boku
mistrza zbrodni wszechczasów

jednego z dwu – danych na ubiegły wiek
aby spełniło się jakieś proroctwo
przy jej udziale – ale czy

w pełni świadomym –
Miłość ubarwia – a poza tym
zasłaniano jej wzrok tęczową mgłą

Więc jak ją teraz sądzić:
– tę czarnosławną kochankę mordercy –
Kto może wiedzieć o niej wszystko

Wspólne życie i wspólna śmierć – wraz z tym
co uwiódł jej dziewczęce
niewinne serce

Komu ją skarżyć jeżeli nikt nie wie
kim naprawdę była –
Wielu zacnych opętał ten przeklęty człowiek

Każda kobieta w miłości słaba
ślepi mężczyźni –
Więc jednak po namyśle zmawiam za nią pacierz

NAJCENNIEJSZA RADOŚĆ

Nie ma cenniejszej radości od tej
której przyczyna nie do odszukania
– Niespodziewany dar
niby słoneczny odprysk
jeszcze nieskażonego żadnym doświadczeniem
dzieciństwa – Czysta radość życia
źródła – co nagle wytrysnęło z ziemi
pieszczotliwym dreszczem

O – nie analizuj tej chwili
nie płosz jej myślą –
Wstrzymaj oddech i pozwól aby tylko ona
przepelniona tą
samorodną radością
opanowała aż po zmierzch
wschodzący dzień –
Obejm nią całość i szczegóły

widzialnego świata
– Niech pięknieją w jej blasku
najpierw z osobna coraz wyrazistsze –
by zlać się rychło w jedną harmonijną pełnię:
– w potężne drzewo ociekające
najczystszy brzmieniem wesołego tonu –
pszczelim szumem – dopóki
użyczasz mu co trzeba z obfitości serca

nie przypisując sobie mocy
ani nie pragnąc niczego więcej

SMUTNA PODRÓŻ

Smutna jest podróż szlakiem wspomnień:

– ściganie echa –
napotykanie cieni

Nawet gdy coś się wydaje z pozoru
niezmienione – jakaś rzecz miejscowość –
za każdym razem pozór pogłębi ten smutek

I tylko to banalne
tak oczywiste porzekadło –
o tym że przeszłość niczego nie zwraca

za każdym razem będzie zwieńczeniem
każdej podróży szlakiem wspomnień
choćby się zdało że do niedaleka

– I choćby jeszcze ponad wczorajszym ogniskiem
wisiał ciepły dym – za późno będzie
aby się pozbyć tego smutku

unoszącego się wraz
z nieokreślonym początkiem przeszłości
i rzeczy byłych

O DUCHU ŚWIĘTYM

Dowolna Ducha droga – lecz
jeśli dostrzeże choćby ślad pokornej siły
w człowieku nocy –
o wtedy niezawodnie zboczy
i wzniesi z iskry pożar

Natchnie prostaczków porywczym słowem
oblecze skromną duszę w świętość
rozpali twórczą pasję w wielbicielach piękna –
i da walczącym ze ślepym żywiołem
oreź prawdy

A tam gdzie zwietrzy krew męczeńską
choćby nie było fizycznej tortury
włoży na czoła złote korony
– Sobą je natrze i uodporni
na ból i na śmierć

Nic się nie dzieje przypadkiem po obu
stronach istnienia – i kiedy mówią
jakby nie z siebie:
że Duch gdzieś zleciał na człowieka
może się nigdy nie domyśla

przyczyny
dla której zboczył z swej dowolnej drogi
i czemu chór anielski przed Nim nieomylnym –
który zaczyna dorodne dusze
po trzykroć pieje: Ś w i ę t y

CZARNY STAW

Minęły lata – oczy wróciły
nad ten staw czarny wokół obrośnięty trzcina
gdzie nic się prawie nie zmieniło
prócz chłopięcego serca –
które do stron tych już nie powróciło

Wybuchały brzozy:
– odgrodziły listkami grząski muł od szosy
co zamknął w sobie przed półwieczem
ślady bosych stóp –
w mgławych oparach ciepło małych rąk

Jedynie wzrok się przedarł przez gęstwinę
do nieruchomej ciemnej toni –
wniknął pod spód
– Dotknął spojrzeniem podwodnych korzeni
zabrnął w żabi skrzek

W czarnym zwierciadle nieruchoma czapla
jak zatrzymany w ptaku czas
– w wianku grążeli –
Wszystko tak samo jak przed laty
prócz serca co powrócić znikąd nie zdążyło

SYN PUŁKU

Podczas każdej wojny
gdziekolwiek by się toczyła
zawsze można spotkać syna pułku

Będzie jak ten tu – w przedziale pociągu
pędzącego na spotkanie
z nieznanym losem

opowiadał ze swadą starego wiarusa
przygodnym towarzyszom podróży
o swych licznych przygodach

Wbity po uszy w żołnierski szynel
wyliczy sztucznie grubym głosem
wszystkie bitwy i fronty

Rosnąc pod sufit wagonu pychą
nałże o sobie –
ilu pokonał w krwawym boju wrogów

Pobieżnie i bez cienia żalu
wspomni coś o pożarze rodzinnego domu
i o gwałtownej śmierci rodziców

Gdy przemknie świeży grób za oknem
wybuchnie dumnym śmiechem –
aby za chwilę naburmuszony

tracąc tupet i ferwor zapaść się w uniform –
dotknięty całkiem dlań niezrozumiałym
głuchym milczeniem przygodnych

towarzyszy podróży
– Tylko rozmigotane koła eszelonu
zastukają ochoczo na szynach

GLEBA

Wielu narodzeń i umierań
trzeba było
abyś pokryła glebo urodzajną warstwą
jałowe skały – niepłodne piaski

I nie mniej czasu zużyto – aby
te szczątki istnień
wymieszać w czarne żyzne podłoże
z nieorganicznym drenażowym pyłem

Dawno zapomniał zwierz i człowiek
po czym dziś stąpa –
Zapomniały rośliny z czego zakwitają
wiosną – owocują jesienią

Stałaś się glebo z upływem wieków
taka zwyczajna jak powietrze woda –
że mało kto dostrzega twoją zgrzebną godność
pod puszystym sukнем zieleni

Tylko wiatr czasem klęka
przy tobie – gdy bez przerwy potajemnie rośniesz
z prochu umarłych na wspólną mogiłę –
i ciągle wzbudzasz nowe życie

jak pieśń na strunach deszczu
jak koło przemian w promieniach słońca
– glebo próchnico –
glebo – łanie pszenicy

LISTOPADOWE SŁOŃCE

Podziwiam je bardziej
od innych – gdyż żadne z nich nie spotyka
tyłu przeszkód na swej
drodze: mgieł dymu uporczywych dżdży
powalonych drzew

Żadnemu wichry tak zaciekle
nie roztrząsają promienistych snopów –
Wobec żadnego okna aż tak niegościnnie
drzwi zatrzaśnięte
ściany nieprzenikliwe

Nawet zimą – w mroźnym uścisku
ścięte na kryształ powietrze nie stawia
równie silnego oporu
złotej gwiazdzie
swobodnie skrzającej się w bieli śniegu

To wszystko zresztą mniejsza
– Przed wszystkim chwała ci słońce
listopadowe za to – że chociaż niekiedy
chociaż na chwilę
przenikasz warstwę jesiennego smutku

aby zakwitnąć bladym uśmiechem
w czyichś źrenicach –
na oszronionym jakimś krzewie

OSTATNIE GRZYBOBRANIE

Podczas ostatniego
w moim życiu grzybobrania
nie zbierałem grzybów – a tylko
błądząc bez kosza między drzewami
i wspominając dawne gry dziecięce –
bawiłem się z nimi
w chowanego

Te dzieci lasu jak mało kto
znały przebiegłe reguły
starożytnej igraszki:
– sztukę mimikry i ukrywania się
przed szperającym wnikliwie wzrokiem

Las cichy o tej porze po powtórny lęgu
ptaków
pełen sekretnych schowków w gęstwinie
mamideł światłocienia –
był nam zarazem świadkiem i rozjemcą
z wiewiórczą kitą i obłokiem
na konarach

Było wesoło:
zielonki chytrze kryły się pod ziemią
borowiki za pniami – rydze w mchu
twardzioszki w trawie –
Czerwone muchomory zdobiąc w białe kropki
swe kapelusze – udawały
boże krówki

Najdziwniejsza rzecz: wytropione grzyby
patrzyły na mnie bez obawy
jak niby-jeńcy
rozbawione tak – jakby dokładnie wiedziały
że to nie grzybobranie
ale zabawa

Pocziwe słońce pomiędzy nami
na leśnym dukcie położyło
złocistą plamę – jasny znak przymierza

CIAŁO RUIN

Tak wiele z tych zwalonych obróconych w glinę
ruin
ledwo porośłych siwym podbiałem
unosilo się jeszcze warstwą
daremnych modlitw klątw okrzyków trwogi
przedśmiertnych rzeżeń jęków szlochań –
krzepnącej grozy

Ta glina była jak żywe ciało
ogromne – na wskroś przepojone bólem
niepogodzone z losem – pełne
trupów
miotających się nadal po gwałtownej śmierci
w bezwiednym odruchu konania –
opłakane deszczem

Wschodzi ponad nim nowy dzień
słońce powleka je złotą patyną
i tłum wyległy z zatęchłych nor
wydeptuje na nim
prowizoryczne ścieżki – podobne do rdzawych
pręg na nieżywej skórze –
Nieodczuwalnie obraca się ziemia

Tak właśnie życie po wielkich klęskach
dobija rannych
– tak na skraju pamięci grzebie
cichy pomruk umarłych –
Dopiero gdy wzburzony czas się uspokoi
nowe osiedla przygarną cmentarze
przytulą uszy – Usłyszą

WŁASNY WKŁAD

Z tego co kiedyś miałem za swoje
tylko znikoma część jest moja –
Cała ludzkość złożyła się
na każdą z myśli w pojedynczej głowie

Jestem odległym echem pradawnych pokoleń:
ich żurawiego krzyku tęsknoty
za źródłem rzeczy –
szmeru ich stóp wydeptujących

na obcej ziemi człowiecze drogi
– Bezwiednie przywłaszczyłem sobie
doświadczenie ogółu:
słowo którym wyrażano wspólnie

podziw zdziwienie radość i trwogę
Wraz z tłumem moich przodków i mych rówieśników
celebruję jak kropla w morzu
majestatycznie rozkołysany

ruch odwiecznego żywiołu –
choć nawet i ów
najbardziej intymny szept – co jak błyskawica
rozbrzmiewa w mrocznych zakamarkach

mojej jaźni
nie jest monologiem między mną a mną
– Cóż jest więc moim udziałem –
Kiedy się nad tym zastanawiam

czuję płomyk
trzepocący niepewnie w porywistym wietrze –
I bez znaczenia jest moja obawa
że byle podmuch może go zdmuchnąć

MÓWIĄC OJCZE

Księdzu Stanisławowi Dzyrowi

Nawet bezkresna wieczność nie wyczerpie
ani do końca nie objaśni
zdumienia dusz
rozważających twoją niepojętą łaskę
Panie –
i nie obejmie ich upojenia

Nigdy ludzkiemu słowu
nie uda się wyrazić twej wielkoduszności
mocą której nas – nieznaczące pyły
wyróżniłeś – i wolno nam
wpierw osieroconym
zwać Cię Ojcem

Napawać się do woli – nigdy nie pojmując
miłosną treścią tego wyrazu
który po nieskończoność
wionie spokojem
– W którym się jawisz w swojej potrójnej Osobie
i schodzisz do nas Bratem z krzyża –

dyskretnym Powiernikiem naszych wyznań
w spowiedziach – cienisty jak nieprzenikliwa noc
w chwili konania
– Widny jak pełen światła dzień
po drugiej stronie wszechistnienia
t w a r z ą w t w a r z

NIEUFNY ŚWIAT

Coś ty człowieku uczynił światu
że gdy się doń przybliżasz –
wszystko co najpiękniejsze najsubtelniejsze w nim
płoszy się i umyka

Jeżeli to jest jakiś wdzięczny ruch
zaledwie spojrzysz na grę jego cienia –
on – jakbyś cisnął weń kamieniem
natychmiast zamiera

Jeżeli to jest cudny śpiew
nie zdążysz nawet przychylić ucha –
a on już słysząc twe dudniące kroki
ucina ton

I tak przed każdym twoim zmysłem
im bardziej natarczywy –
świat się co prędzej jak nieufny ślimak
kurczy i szczelnie oskorupia

I próżno pyta człowiek:
Cóż ci takiego uczyniłem świecie
że tak uparcie ode mnie stronisz –
i idzie dalej – szukać świata

STARYM MAŁŻONKOM

Teresie Ferenc

Oddani sobie przed laty ludzie
nigdy jeszcze nie byli
tak blisko siebie
ani tak piękni jak w duchowym związku

teraz – gdy ich doczesna droga
kończy się –
a oni już za chwilę przejdą z życia w **ż y c i e**
przez śmierć zrodzoną z niepokoju ciał

Chwała tobie miłości
za to że pozwalasz starym małżonkom
co dnia na nowo poznawać siebie
w pełnej urodzie młodych lat –

Docierać do niej przez starczy węd
zmarszczki i odleżyny – ułomność postaci
zgaszone oczy przytłumiony głos –
utracony wdzięk

Starczy wzrok głębiej sięga
i dzięki tobie promienna miłości
pozwala coraz lepiej przez zużyte ciała
dostrzegać w dwojgu czułą jedność

WIERSZ DLA TRZECH:

Mariana Rejewskiego
Jerzego Różyckiego
Henryka Zygalskiego

Przycichła bohaterska legenda
Westerplatte – tylko niekiedy
oznajmia się od święta przytłumionym echem:
„Broni się jeszcze” –
rozbłyska chwałą w strofach Ildefonsa

Dano nam w zamian trzech
których się nie da w mity złożyć –
gdyż dzięki prawdzie rosnać z każdym wiekiem będą
pomimo przemilczenia
– E n i g m a –

czarna nieduża – na pierwszy rzut oka
zwykła maszyna do pisania
naprzeciw zbrojnych – krwawiących w walce
na śmierć i życie bez pardonu frontów –
a tak naprawdę bastion wojujących myśli

w tej wojnie na pół sprawiedliwej
może decydujący
– E n i g m a –
Czy trzeba coś dodawać wymieniać imiona
stroić nieżywych liśćmi wawrzynu

Tych – wygnanych z pamięci
ocalonego przez nich świata
– Tych trzech naszych – którzy – gdy im skradziono
zasłużoną sławę
spoczęli w Bogu i w Jego Prawdzie

jeszcze nie całkiem przywróceni
odzyskanej ojczyźnie

STOKI

Znowu się ciągną pod powieką
stoki bezbronnych bieda-miasteczek –
liście łopianu

Błade słońce wciąż zsuwa się z ich
oślizgłej pochyłości – wciąż spychane
przez od-chmurny półmrok

Gdzieniegdzie fragmenty płotów: –
deski niczym wisielcy
tańczące z wiatrem pijany taniec

Dalej od słońca w drobnej mżawce
kapuściane głowy
łyse – zalatujące rzodkwianym odorem

Na pędrakowym oślizgłym zagonie
aż po kolczasty drut – stadko
zdechłych kur z rybiookim kogutem na czele

W pośrodku górnej krawędzi stoku
półprzeważony nad nią tyłem
wychodek

Z powyżej niej dochodzą
niemrawe głosy –
z poniżej ciężko dźwiga się ku niebu

kurz ze spieczonej słońcem drogi
i z tej – grząskiej od potu
nigdy nie oznaczanej na pstrych mapach świata

chyłkiem wiodącej przez splendor pałaców
wyniosłość świątyń – bezbronne stoki
do osiedli nędzarzy

PACIERZ ZABŁĄKANYCH

Wszystko co poza Tobą Panie
jest bezdenną otchłanią bez sensu i celu –
Jeśli Cię porzucimy
runą zwietrzałe krawędzie świata
w ziejącą pustkę –
i każdy ujrzy własny Armagedon
wpierw – nim spadnie w przepaść

Po nieskończoność utkwi w przerażonym wzroku
ten obraz pełen grozy –
rozwijający się w beczasie
bez spełnienia – w nicość

Nie daj nam Panie ominąć Ciebie
zgubić się w drodze –
a jeśli nawet tak się stanie
wyślij na pomoc jeden promyk twego blasku –
Przywróć zbłąkanym bezbłądny kierunek
nim naszą trwogę zgładzisz swą łaską

Utwierdź na moment przed zmyloną stopą
zwietrzałą krawędź kosmosu –
i zaślep jasnym światłem betlejemskiej gwiazdy
tę straszną czeluść samozatracenia
– Prosimy Ciebie –
mdłe ptaki w twojej miłosiernej dłoni

PAMIĘCI JAROSLAVA SEIFERTA

Spośród poetów
mojego czasu i miejsca na ziemi
najbliższym memu sercu jesteś Ty –
chwilowo nieobecny
mistrzu – Jaroslavie Seifercie

W twoich wierszach spotkałem pokrewną mi duszę
choć Ty sam w nią powątpiewałeś –
Lecz ją dostrzegam ją wyraźnie:
jest motylem unoszącym się ponad
kwieciami twych słów

Stałeś mi się najbliższy
po przeminięciu szalejących w Tobie
burz – wygaśnięciu cierpienia
uśmierzeniu buntu –
gdy rozumiałeś bezsens walki z wiatrakami

Ujrzałem wtedy twą mądrość w wersach
w uroczej szacie obok piękna –
Twe oczy nad strofami pochylają się jak
ośnione słońcem niebo
po pochmurnym dniu

Urzeka mnie w nich twa odważna męskość
co ukochała świat ten – i pomimo to
spokojnie czeka na śmierć –
zarówno pogodzona z nią – jak i
z pełnym przeciwieństwem krajobrazem

Czując ten mocny węzeł między nami
mówię Ci stąd – gdzie wczoraj byłeś:
Do widzenia
mistrzu Jaroslavie –
Obaj umiłowaliśmy tę uprzykrzoną ziemię

ZA MAŁO

Za mało było tysiącleci
na doskonałą konstrukcję człowieka
skoro wciąż jeszcze zdarza się –
że jego gładkie wypiełgnowane ciało
pokrywa szorstka zwierzęca sierść
a z jego wątlej krtani tak łatwo

wydobywa się gniewny ryk pradawnej bestii –
Za skąpo było torfu – prochu kości
na jego podświadomość – z której
pustynnej i bagiennej nadal się unoszą
nieczytelne mgławice

– A on – dzisiejszy
czując kosmate ramię przy boku
budzi się ze snu z przeraźliwym krzykiem –
i kruszy się jak mumia dobytą z ciemności
na wiatr i słońce
póki nie skryje się w niepamięć

ze wstydu – gdyż tylko tak
może pochować przed sobą i światem
tę nagą prawdę – że w nim pod gruzem
epok – ciągle buszuje
nieposkromiony przeszłym czasem
pierwotny człowiek

WTEDY IDŹ –

Ktoś w kim szaleje pełna napięć burza
nie powinien dotykać dookolnych rzeczy
– Raz dotknął – i roztopiły się
w blasku jego błyskawic –
Raz dotknął – rozsypały się pyłem

Nie powinien wychodzić do ogrodu:
raz wyszedł – i wszystkie kwiaty
zerwane brutalnie –
uleciały wraz z rozpełtanym w nim
wichrem

Ktoś w kim zapanowała skrajna oschłość
nie ma racji bytu na ziemi –
gdyż od jego oddechu
schną wszystkie młode pędy – płowieją niebios
nagim dnem świecą morza i rzeki

Nie – nie wychodźcie w miasto przeniknięci mrozem
– jeśli zostało w was jeszcze tyle
żywego czucia
aby przewidzieć – że od was zsiniały
zamarznie w żyłach krwiobieg

A wy – na wszystko obojętni
nie przypatrujcie się tak martwym wzrokiem światu –
Jeśli naprawdę jest wam wszystko jedno
po cóż mu macie odbierać
barwy i dźwięki

Ach człowieku –
przecież ci wszystko będzie wolno
jeśli odzyskasz niewinność dziecka
pozyskasz spokój starca – Wtedy: – już bezpieczny
rób co tylko chcesz

OGNISKO

Każde ognisko ma liczne głowy
jak legendarne smoki –
na których skwierczą przypalone w żarze
kędzierzawe włosy

Pośród płomieni migocą zmienne
oczy i twarze
o nieuchwytej barwie znikliwym wyrazie –
młode przez moment – nagle postarzałe

Spójrz – jak je targa o wieczorze
swawolny wiatr –
jak je uwodzi – sypiąc iskrami
nie wiadomo gdzie

Tańczą małe dzieciątka
trzęsą się siwe brody z popiołu
– Północ usypia ognistego smoka
poranek zbiera czarne kości

Widny dzień depce
na wypalonym martwym skrawku pola
blade zarodki płomieni –
Następny wieczór zaprósza w trawie

nową skrę – Następna noc rozpala
nowe stare ognisko

DZIWNY CHŁOPIEC

W kilka lat po wojnie
troszczyłem się – wówczas młody medyk –
o zdrowie sierot z domu dziecka
przebywających w wyludnionej wiosce
na kolonii

Był piękny sierpień pełen owoców
w lasach ogródkach sadach
– Z mych potencjalnych nieletnich pacjentów
nikt nie uskarżał się na zdrowie –
Odwiedzał mnie tylko – ale bynajmniej nie

z powodu choroby – wielkooki Grześ
– Miał sześć lat i był ulubieńcem
opiekunów – choć wszyscy mówili
o nim: Trochę dziwny –
jakby dorosły ponad swój wiek

Zapamiętałem dobrze jego trzy wizyty
o których do dziś nie wiem co sądzić –
Podczas pierwszej nazwał mnie mądrym
– a moją uwagę że:
wielu jest ludzi mądrzejszych ode mnie

zbył słowem: Nieprawda
– Podczas drugich odwiedzin nazwał mnie
dobrym – i znowu moje wątpliwości
przygwoździł słowem: Nieprawda –
tuląc się do mnie

Za trzecim razem szepnął: Pan smutny –
a kiedy żywo zaprzeczyłem
ze łzami w oczach wyznał:
Bardzo mi pana szkoda – i pocieszająco
swą małą dłonią musnął mój policzek

Spotkałem go po dwudziestu latach
w szpitalu dla psychicznie chorych
– Był w głębokim
schizofrenicznym stuporze
niczym kamienny sfinks lub oniemiały potok

Nigdy nie dowiedziałem się od niego
czy odwiedzając mnie tam – kiedyś –
i patrząc na mnie swym wielkookim
dziecięcym wzrokiem
poprzez mnie przewidywał swój niefortunny los

ODWIEDZINY ZIELENI

Zawsze kochałem żywą zielen
więc może nie ma w tym nic dziwnego
że również teraz (w zimie) przyszła – aby
odwiedzić mnie i pocieszyć

Zewsząd gromadzą się gałązki
mnożą kielki
– Przenikają do wzroku i do świadomości
przez opuszczone powieki

Coraz to nowe odcienie zieleni
wschodzą pąkami wprost z podłoża
– i natychmiast
rozwijają się wokół mnie liśćmi

o różnym kształcie:
drobne olbrzymie dłoniaste strzeliste –
lecz bez różnicy – wszystkie jednak
wiosenne i przyjazne

Wyciągam do nich zziębnięte ręce
ufny jak dziecko –
i czuję jak ich pędy delikatnie głaszczą
moje ramiona i policzki

I oto śledząc jak się
splatają we mnie ze światłowiciem
w girlandę – niby w gniazdo soczystej zieleni
i pną się z każdą chwilą wyżej

jestem pewny
że osiedliły się tutaj na dłużej –
i że je ujrzę za każdym razem
gdy tylko przymknę zimą znużone powieki

BRZEMIENNE

Słodkie jest zamyślenie
kobiet w błogosławionym stanie –
Nawet nieładne przedziwnie pięknieją
schylone ponad kopułą swego
łona –
zasłuchane w zgodny szmer podwójnego tętna

Brzmi jak weselne dzwony
o wschodzie słońca –
a one wszystkie coraz podobniejsze
do madonn Rafaela i do matki ziemi
na tle czystego błękitu nieba
w połyskujących strugach wiatru

Odwieczna poza – odwieczna zaduma
która nie ginie w czasie choć znikają ciała
– Iskry we włosach – czułość spojrzenia
przytulność ramion –
ociężałość postaci

Po tobie moja matko również pozostały
tylko te znaki w bezkresnej przestrzeni
i ślad tej chwili najcichszej wśród burz –
w której mnie wymarzyłaś
z miłości duszą – kruchym ciałem
na lepszą przyszłość

A że się sny twe nie całkiem spełniły
kogo za to winić

RADA NA DROGĘ DO –

Aby bezpiecznie przejść z starego w nowe
trzeba mieć z sobą coś trwałego –
coś jak diament i złoto – i jak zawsze
niezbędny życiu tlen

Coś – co ze sobą przyjaźnie spaja
wszystkie epoki jak jak trud i pieśń
i zieleń drzew –
przejrzysty krwiobieg wody

Nic się nie stanie złego prawdziwej miłości
na drodze do nowego –
gdy nawet ślepa i szalona
potknie się o coś

I nic – gdy upojona sobą zbłądzi
straci poczucie czasu i miejsca –
wstyd i rozsądek
– Nic nie zaszkodzi jej – płonącej

Czyż można zgasić – ot tak sobie
poranne słońce
lub skazić kroplą goryczy wodospad –
skrępować wiatr

A przecież każda prawdziwa miłość
to słońce i wiatr i wodospad –
i tylko z nią się uda bezpiecznie przekroczyć
ową granicę między epokami

SUKCES ANIOŁÓW

W dniu dwunastego października
tysiąc dziewięćset
trzydziestego dziewiątego roku –
dobrze spisały się anioły stróże

Jeden ocalił chłopców – którzy
majstrowali przy
artyleryjskich niewypałach
na sypkich wydmach Bródna

Drugi przed egzekucją uratował starca
gdy uniesiony gniewem i rozpaczą
po zabitej przez bomby żonie –
plunął esesmanowi w twarz

Trzeci ściągnął z bariery
mostu Kierbedzia młodą dziewczynę –
której wydało się że nie ma już po co żyć
po stracie w wojnie żołnierza-kochanka

Wszyscy aniołowie
byli jak jeden człowiek z zakrytym obliczem –
Wszyscy trzej natychmiast po
wykonaniu powierzonych im zadań

zniknęli nie wiadomo gdzie –
Może w znękanym tłumie przechodniów
albo w obłokach
jakby w obawie – by ich nikt nie poznał

DO SUMIENIA

Wcale nie ma pewności z czego trzeba będzie
więcej się wypowiadać:
z bezruchu czy z poruszenia
z nieobecności czy z wszędobylstwa
z ingerencji czy z zaniechania
z podjęcia czy nie podjęcia decyzji
z odwagi czy z tchórzostwa – a nawet
z jawy czy ze snu

O – wypada się nad tym głębiej zastanowić
bo może jednak przy wyznawaniu
swych grzechów jesteśmy
zbyt jednostronni –
i choć to nie jest winą – niechcący nieszczerzy

Bądź uważne sumienie – bowiem
nie zawsze i nie wszystko – co ludzkie
zawiera się wyłącznie w czynnej
formule przeżyć

WOJNA O ŚPIEW

W „ornitologicznej” epoce
mojego życia
gniewałem się na ptaki o to – że
nie chciały przy mnie śpiewać

G ł u p i e g ł u p i e – wołałem za nimi
powracając do domu
zaledwie z fragmentami ich pieśni na taśmie
mg – zniekształconymi gwarem świata

Głupie głupie – powtarzał las echem
moje wyzwiska –
sprawiedliwie zwracając je
przeciwno mnie

Nie pomogły zasadzki – przemyślne podchody
– a przecież kochałem tych pieśniarzy nie mniej
od króla Władysława Jagiełły
od dębu – czy strumyka

Jednak ubiegłej nocy – może za to
że dokarmiłem głodne zimą –
urządziły mi galowy koncert
we śnie

Cóż z tego – gdy po obudzeniu
znów wojna na wyzwiska:
G ł u p i e g ł u p i e – natychmiast echem obrócone
przez sprawiedliwy las w moim kierunku

TA SAMA ZIEMIA

Gdzie był biblijny raj –
To przecież była ta sama ziemia
co dziś – a tylko trochę bliżej Niego
czarowniejsza

I były na niej tak jak teraz:
łądy i morza – góry i niziny
życie i nie-życie –
a tylko bliżej Mocy bardziej cudowniejsze

Była też para ludzi
zupełnie taka jak obecnie:
mąż i niewiasta –
a tylko bardziej w Nim – nieśmiertelna

Wszystko co opisano zdarzyło się tutaj –
w dzisiaj:
pokusa grzech i kara – tyle tylko
że w Jego gniewie o śmierć straszniejsze

Wszystko było tak samo
z jednym wyjątkiem – że z chwilą gdy
duchowy człowiek oblókł skórę zwierza
On już w swym Słowie miał plan zbawienia

W INNYM ŚWIECIE

Ów całkiem inny świat
powstał niespodziewanie między snem a jawą
– To co opowiadały baśni
nagle przyjęło rzeczywisty kształt –
to co dotychczas wypełniało jawę
nagle zmienione w mit

Ktoś unieważnił dawny podział doby
na dzień i na noc
– Cała doba jest wieszczącym brzaskiem –
Pytią – która z wahaniem zapowiada dziwy
nieznane dotąd – wzbudzające
za jednym razem ciekawość i strach

Zaczarowany Gucio to ja –
Ciotka w żałobie po śmieci kota
w tym innym świecie jawi się jak wróżka
– W jedno splatają się greckie mity
z baśniami Andersena – z ołowianą armią
kwiatem paproci

Gorący płomień w mej dłoni więdnie
niczym spragniona rosy róża
– toporna skała włada językami –
Mieszają się postaci z klasycznych powieści
ze współczesnymi
i pomiot smoka bawi się ziemią jak piłką

O – są i ptaki Arystofanesa
grające ludzkie śmieszne i poważne role
– i ja – pośród nich jakby
tragiczny owad Franza Kafki
na którym ciąży ich drapieżny wzrok –
groźne zamiary

Tłó tłumy wszystko tak – że czując ranę
patrzac na strzępy mej wątroby –
mojego serca – nie wiem
czy jestem jeszcze w żywym czy już w martwym ciele
– Ktoś bliski woła: Zbudź się –
ktoś obcy i daleki: Śnij dalej

A ja wciąż nie domyślam się – czyj głos
w tym całkiem innym świecie – innym
mnie – przeważy

MARYNIE CWIETAJEWEJ
(gdziekolwiek jest lub nie jest)

Taka wrażliwa
przyciągająca zewsząd piękno –
Taka ufna
przepelniona bezbronną
miłością

Cóż dziwnego że prędko porażona światem
zwiędła –
z każdym dniem bardziej nieżyczliwa
dla Boga świata siebie i ludzi –
z resztek miłości w sercu – nienawistna

Co uczynić z sobą
nieczułą z udręczenia –
w której tkwi jeszcze tamta – tkliwa
z wciąż niewygasłym popiołem wspomnień –
w domu bezdomną

O nie dziwne że z bólu tłumionego burza
– a ona bardziej szalona od burzy
cicha jak grób –
nagle wyrzywa piorun chmurze
i przesywa nim serce

Już się nie dowie
że właśnie w tej gwałtownej chwili
jej niespokojne tkliwe pełne buntu wiersze
zaczęły wyc – i że ten podły świat
chcąc nie chcąc je usłyszał

ZDROWE ZMĘCZENIE

Zdrowe zmęczenie
nie sprowadza niemocy
na ziemi –
tylko troskliwie układa na niej
ciało na krótki odpoczynek

Natomiast poza nią
urzeczywistnia najwspanialsze sny
o wiecznej duszy –
o nigdy nie nużącym wiecznym trudzie
tak bardzo przypominającym

dziecięcą zabawę
w motyle i anioły –
Pot jest jak kropla święconej wody
i jak żywica z drzewa życia –
wiatr chrzciciel

I jest to zdrowe zmęczenie
jak gdyby ojciec – studzienny żuraw
i jak mgła – niby matka
co zewsząd szepce: Lulaj synu –
sobą – jak miękkiem szalem otulając

jego kłoniącą się ku ziemi
strudzoną głowę

DOPIERO WTEDY

Pośród wielu orkanów
i ciemnych nurtów
jest tylko jeden wiatr – i jeden prąd
które od bez-początku skrycie podążają
we właściwym kierunku

Im bardziej szamotałem się
w pajęczynie
złudnych powiewów – obłąkanych prądów –
tym bardziej oddalał się ode mnie
upragniony brzeg

w którym – zaledwie mającym
pokładałem bezradny całą mą nadzieję
na ocalenie
– Lecz ona ziściła się
dopiero wtedy – gdy wyczerpany

do cna
znieruchomiałem niczym przesiąknięta na wskroś
zwątpieniem szmata –
Dopiero wtedy wionął ku mnie
bezbłędny wiatr – i spokojnie podpłynął

ów nieomylny nurt
– Dopiero wtedy moje – i nie moje życie
nabrało sensu –
i każde miejsce na ziemi wraz z chwilą
w której akurat byłem

stało się jasnym brzegiem spełnionej nadziei –
progiem za-świata

POGRZEB

Zanim to „coś” przykryją ziemią
słoneczny promień już wie
drzewo rozumie –
omszały kamień pojmuje głucho
że to nie ciało grzebią w grobie

Promień odpowie: Tylko płachtę cienia
drzewo oznajmi: Pył znużenia –
głaz szepnie: Żywy ruch
– Nieco swobodniej odetchnie ziemia
lżejsza o jeden znikomy ból

A po żałobie – opłakaniu siebie –
również ludzie
tak jak natura – nigdy już
nie doszukają się pod darnią
więcej niż ona

Za każdym razem gdy ich ogarnie
fala czulej tęsknoty –
będą rozglądać się coraz uważniej
po niebie za
obecnością duszy

WOLA I ZIEMIA

Wola w człowieku jest jak imadło
– jak obręcz i powróło –
stalowy supeł

Imadło po to – by unieruchomić
to – co się z wiotkiej wymyka dłoni –
łatwo wypada z myśli pamięci i serca

Obręcz – aby skupiła
rozpierzchłe strzępki z drzewa wiadomości
w rzetelny zasób doświadczenia

Powróż i supeł – ażeby nimi
skrępować w niby-snopy kapryśne nastroje
powiązać z sob czucia

Studiując wolę – można niespodzianie
ujrzeć odwieczny trud człowieka
zmagającego się wciąż

nie mniej niż z sobą – ze złowrogimi
siłami podstępного świata
– O Tytanie

ów ogrom twego trudu najdokładniej będzie
widać – na twardej skorupie ziemi
jeśli kolejny człowiek zdoła

pazurem swojej przez się ujarzmionej
woli – wyryć na niej
swoje prawdziwe nieznane imię

NAD GROBEM SAMOBÓJCZY

Drżał w ręce bożej kruchy ptak
radość zmagala się z przerażeniem –
szamotały się słowa:
Bardziej zaciśnij – otwórz swą dłoń

Nie wytrzymało nadmiaru napięcia
gołębie serce – nie zdzierzył rozum –
Ciagle się waha ponad grobem samobójcy
roztropność nieba:

Czy święty czy przeklęty –
i kto zawinił w dobrej sprawie:
on – czy dłoń boża – czy może ktoś trzeci
umyślnie – niechcący

Nic nie jest jeszcze przesądzone
choć na dole i w górze roi się od plotek –
Skrycie rozbrzmiewa w mrocznych kularach
za – i przeciw

Sąd się odbywa naraz
w wyniosłym niebie – skromnym kościele –
Staruszek kapłan leżąc krzyżem
wojuje z Bogiem o biedną duszę

STACYJKA

Już dawno nie ma tej stacyjki
zawsze jesiennej – spowitej ciszą
ozdobionej daliami –
na której szybach gęsto roiły się muchy

Jednakże nadal bieżą tędy
stalowe szyny –
i szybkie pociągi co dnia
zgarniają stąd podróżnych – ładują bagaże

Rychło się wkurzą razem z nimi
w pobliski tunel
– Za każdym razem je odprawia
z pobocza toru polny mak w pąsowej

czapeczce dróżnika –
Koła stukając na złączach szyn
dokładnie odmierzają metr po metrze drogę
tratując – zda się – bezpowrotnie przestrzeń

Ten tunel jakby nie miał bez kresu
jednak w momencie – kiedy zwątpienie
zaczyna podważać sens
i cel podróży

nagle wpada jaskółka – przestrzeń rozwija się
w dalszy ciąg krajobrazu
– nic nie zostało naruszone –
I znów mak polny w pąsowej

czapeczce dróżnika – choć już od dawna
nie ma tamtej stacyjki zdobionej daliami
odprawia pociąg w dalszą drogę –
do przystanku na którym każdy wysiąść musi

O UFNOŚCI

Wzruszająca jest absolutna ufność
dopiero co narodzonych stworzeń
okazywana przez nie nieznanemu światu
nim – jego ogrom i złożoność
wzbudzi w nich niepokój

Ta powszechna
jeszcze niczym nie zmacona ufność
narzuciła mi się dziś o poranku
kwiatem co spojrział na mnie z pąka –
pisklęciem

Mnóstwo jest takich spojrzeń
wpatrzonych intensywnie w czas i przestrzeń
niewidzącym wzrokiem
– przez krótką chwilę po narodzeniu
tak najniewinniej zadufanych

O jakże wzbiera smutkiem na ich widok
niejedna dorosła
postać – która od dawna wie już z doświadczenia
ile sztyletów i żądał czeka
na taką ufność by ją zranić

– Ale wiesz również okrutna planeto
że ten blask który nieraz zgasisz razem z życiem
w niemowlęcych źrenicach –
rychło odrodzi się w dwójnasób – właśnie z niej: – ufności
niewyczerpanym źródłem wiary

w lepsze jutro –
w niezmiennie trwałą przychylność nieba

ODLEGŁE WSPOMNIENIE

Jeszcze nie ostygł siwy piach
pod księżycem –
kiedy wszedł oddział między opłotki
kaszląc flegmą i bronią
pośród rozlanej wokół ciszy

Wyminął groźnie nastroszone drzewo
czujnie przemknął przez wieś
zniknął w uśpionym lesie –
Zaszczekały psy

Przez chwilę w mroku szamotał się kurz
niby bezdomne – przez chłód oderwane od ciała
szukające spoczynku
znużenie –
Bezgłośnie przekwitały sady

O szarym świecie
miejscowi poziewając szeptali nabożnie
komentując ów przemarsz –
Co chwila słowo: Partyzanci

Kobiety spoglądały z macierzyńską troską
pod słońce – na las
mężczyźni prostowali się dumnie
wiatr powiewał wolnością –
W kolebce kwiliło niemowlę

MOJE MYŚLI

Przyglądam się mym myślom:
zlatują się ze wszystkich stron mnie
jak blade ćmy
za każdym razem kiedy w mej ciemności
rozbłyśnie – choćby najmniejsza kropla
światła – O jak spragnione

Czerpią z niej chciwie – a gdy zgaśnie
odlatują złote
aby po chwili znowu zlać się z mrokiem –
Spoglądam na nie z uśmiechem
pewny że wrócą

Wystarczy tylko bym w mej pomroce
powtórzył to – co odkrył jaskiniowy człowiek
gdy w nim ciekawość skupiła się w wolę –
i gdy uderzył nią jak stalą
o krzemień serca

Powrócą coraz bardziej spragnione
światła –
nigdy nie nasycone – pomimo że ta zabawa
trwa nieprzerwanie od tysięcy lat
w ponurym cieniu śmieci –
W nierozwidnionej nocy mojej

WIELKIE OCZY

Te wielkie oczy
to była cała ona –
To do nich zwracałem się z prośbą:
Zbądźcie się smutku – Nie zważały na to

Te usta zatopione w zmierzchu – gdy szeptała:
Otulę cię nim
wonnym i lekkim jak cień jaśminu –
to też była ona

Doprawdy nie wiedziałem
co robię
uwalniając ją słodką przemocą pieśczo-
ty od dziewiczego smutku

Bez niego – bezwstydną obnażoną z szat
z dzikim wyzwaniem w spojrzeniu
wyuzdanym śmiechem –
była zupełnie kimś innym niż ta

jak zmierzch – pełna zacisznej melancholii
którą przed laty czy przed wieki
kochałem –
i której teraz szukam pośród gwiazd

i w ulotnych snach
na próżno

SKARGA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

Czas mija – a ja: – z martwych żywy nie wiem
czy świat się cofnął czy postąpił
choćby o krok do przodu –
Zbyt długo układano prawicę do miecza
hołubiono nienawiść

Wojenne pieśni leciały górą
pobożne dołem
więc skądże ja – syn nieodrodny
mojej epoki mogłem się dowiedzieć
przeciwko komu wznoszę moją pięść i oręż

O – gdybym wiedział
dawno by uschła i opadła ręka
i byłby porażony wzrok Bogiem w człowieku –
Nic nie dotarło – jak wpierw
wojenne pieśni lecą górą

pobożne dołem – nieśmiałe i ciche:
P o d T w ą o b r o n ę u c i e k a m y s i ę –
Zagłusza je bitewna wrzawa
więc nadal nie wiem dokąd – ani po co zmierza
po moim grobie wciąż skłócony świat

MISJA SOKRATESA

Adrianie Szymańskiej

Wielkie imiona muszą
dojrzewać w czasie –
Nie mogło być apostoła
przed Mesjaszem

Wtedy w sercu Hellady
wzbierającym gwałtownym przypiływem
zasadniczych pytań – mogłeś być
tylko ty – Sokratesie

odrębny ze swą misją – i niezrozumiany
– Nie ważna twoja biografia:
ciebie jakby nie było –
W dziejach liczy się tylko twoje szczere wyznanie:

W i e m z e n i c n i e w i e m
– To nim wyszedłeś za całą ludzkość
naprzeciw nieznanemu Bogu
z czterowiekowym wyprzedzeniem w czasie

To wyznanie to cały ty
i my wszyscy –
wciąż jeszcze czekający u źródła nadziei
na objawienie

na wielkoduszną odpowiedź nieba
na „Wiem” z Betlejem
i na: „Ja jestem” z krzyża –
Tylko to było twoim zadaniem

Nic nie jest dziełem ślepego przypadku
ale gdybyś żył później – spotkał Go po drodze
byłbyś trzynastym apostołem –
byłbyś nim – Sokratesie

Lecz wtedy nigdy by się nie spotkała
ludzka niewiedza ze słowem bożym
tak wzruszająco –
tak życzliwie

ZACZAROWANE MIASTECZKO

W blasku co nagle z pogodnego nieba
padł na miasteczko – i pokrył
złotą patyną domy ulice ogrody –
wyszał wilgoć i wprowadził w drżenie
przestrzeń – piękniało wszystko

Piękniały brzydkie dziewczyny
pryszczate tynki płoty pordezewiałe bramy
więdnące kwiaty
– miejskie szalety i śmietniki –
złomowiska

Piękniały: brukowane ulice
zamulone sadzawki wyleniałe koty
okaleczone drzewa
– bielizna rozwieszona na sznurach
zebracy pod kościelnym murem

Piękniał nawet zmieszany z petami i kurzem
odór rynsztoków –
Piękniały: wyświechtana ciasnota
zaśmieconych podwórek
dziurawe rynny – wydeptane schodki

Bardzo dziwili się
temu nagłemu pięknu mieszkańcy miasteczka
i nieliczni turyści
– Jeden z nich idąc za swą myślą – szepnął:
To miasteczko wygląda jak zaczarowane

WSPÓŁ-CZUCIE Z ODDALI

Chociaż nie byłem wtedy tutaj
to jednak czułem jak wałą się na mnie
ściany i strop –
i jak pod moimi stopami z trzaskiem
zapada się podłoga

Próżno szukałem wyjścia lub kryjówki
– Ktoś podparł drzwi dębowym kołkiem
zamknął okiennice
podłożył ogień –
Jak pojąć czucie w chwili – gdy płomień

skamląc i hucząc obejmuje ciało –
Czy to ból tylko czy straszna rozkosz
niczym szkarłatny kwiat na jeszcze
nie do końca ostygłych iskrzących popiołach
– Coś mniej lub więcej –

Jak można było aż tak – z daleka
wczuć się w gwałtowną śmierć czyjegoś domu
stąd gdzie tak cicho – najciszej
i nie przed – a po:
gdyż kto tu upadł już się nie poruszył

OBA PRZYPADKI

Różnie bywa – gdy
człowiek rozpozna swą nędzę w drugim
niezamożnym człowieku

Albo go minie i pójdzie dalej
w swe samotne ubóstwo –
albo jednocząc siły poniosą je razem

mimo brzemienia niedostatku
prawie szczęśliwi –
Nieraz widziałem oba przypadki

w moim życiu:
bogactwo co swym blaskiem przesłaniało nędzę
i dostatek ubóstwa

Po drugiej stronie mnie
nieraz stał drugi ubogi człowiek –
patrzy mi w oczy – milczał

Nie wiem – czy dumny czy nieśmiały
– ale za każdym razem wiedziałem
co chciał powiedzieć

PRZEKOMARZANIE Z BOGIEM

Z każdy dniem bardziej jestem przekonany
że nie byłbyś prawdziwym Bogiem
gdybyś nas stworzył niewolnikami

Zapewne był to moment
po wieczery – gdy
zachciało Ci się mieć partnerów do gry

Stawka wysoka jak niebo
– Przyznaj – że Ty
sadowiąc nas po drugiej stronie

karcianego stołu
cenisz nas nawet za zaciętrzewienie
lubisz za spryt – dzięki któremu

ogrywamy Ciebie –
Przyznaj że nas szanujesz
za samodzielność

za krytykę i sprzeciw wobec twych poczynań
– Tylko to jedno pozwól nam odgadnąć:
że nas miłujesz za grzechy

tym bardziej – tym bardziej
że nie stroiłeś nas na kukły
lecz na żywe istoty – zdolne w równej mierze

do buntu i pokory
– Kontynuujmy grę Seigneur – :
Tyś Bóg prawdziwy

PETENCI

Gmach był nadzwyczaj wyniosły
Wchodzili doń nieśmiało ci – którym
nieżyczliwy wiatr
wiał uporczywie w głodne oczy

Długo wspinali się
po szerokich suto zdobionych schodach
do wielmożnych drzwi
zza których coraz rozlegał się
władczy ryk

Nie zdarzyło się nigdy aby ktokolwiek z nich
ośmielił się zapukać
lub dotknąć klamki –
Trzymając buty pod pachą
zawracali cicho
i znowu brnęli przez posepny czas

bez dzisiaj i bez jutra
do swoich domów –
gdzie ich niezmiennie witały w progach:
zięb płacz głód – pochmurny połysk szyb

Stali w nich chwilę niezdecydowani
– aby wkrótce
znowu podążać pustą ulicą
pod ostro tnący okrutny wiatr
do wyniosłego gmachu – próżno szukając w nim
odrobiny współczucia

POMIĘDZY

Dzień woła: Wyjdź z mieszkania –
tyle do obejrzenia
Noc szepce cicho: Zostań – ja tobie pokażę
we śnie
o wiele więcej niż dzień dać może

Wciąż stoję w progach niezdecydowany
czując – jak rosna we mnie naraz
dwa światy –
ciągle nieświadom który z nich bardziej
jest rzeczywisty

W obawie przed oboma
wciąż jestem tutaj – w brzasku lub zmierzchu
na pograniczu wabiących mnie głosów –
jak ślepy kret u wrót podziemi
oczekujący trwożnie na łopatę losu

WIATR PRZEDWIOŚNIA

Krzysztofowi Lisowskiemu

Urzekający jest wiatr przedwiośnia
– Tyle razy słyszałem
jego rzewny śpiew
łamiący się na węglach uspiętego domu

Co rok spotykam go bezsenny
w księżycowej dolinie –
i kiedy na mych ustach nieśmiały szept nocy
okrzepnie w wyraz

mówię doń: Witaj stary
– Ten krzew płonący na obłym wzgórzu
to on – Zawsze stamtąd się zrywa
aby podpaść szczątki wczorajszego świata:

wspomnienia – liście –
Huczy ogromny pożar pod niebem
kłębią się chmury dymu
i skwierczą iskry na wilgotnej ziemi

O wiem – gdy minie noc
rosa na trawie się położy –
i zanim zdążę szepnąć w niewiadomą stronę:
Do zobaczenia za rok

wpierw się odsłoni przed wciąż od nowa
zdumionym wzrokiem
dokładnie umieciona ziemia
i poranek jak kryształ wykąpany w strudze

Ani śladu popiołu swędu dymu
ani śladu wiatru –
Za oknem głośno cieszą się wróble
wiedząc – nie wiedząc z czego

W PRZEPLÝWIE CZASU

W zawirowaniach czasu
rodzi się zwykle wiele chwiejnych istot:
mnożą się krzywe wieże – szamocą żywioły
i ten co idzie ulicą wiatrów
nie zauważa własnej śmierci

pod kołami
ani w wezbranej gwałtownie wodzie
ni – w spadającej wprost na jego głowę
z rusztowania – cegle
Dawna epoka nagle ulega wstrząśnieniu

i oto w nowej fazie dziejów
ziemi i świata
poddanych próbie wytrzymałości – przed
następnym dniem stwarzania czegoś
z niczego

ponad pękniętym czołem któregoś z kolei
losowego przechodnia
powstaje c o ś – dzięki czemu
czas znów spokojnie płynie – w jeszcze
nieistniejącą przyszłość

lecz już bez n i e g o –
jakby go w żadnym czasie nie było

OKRĄGŁE DATY

Dziś o południu wnuk przyniósł z miasta
żałobną wieść o śmierci
Leszka Kołakowskiego – filozofa
– Piękny wiek – powiedziałem z odcieniem zazdrości
w głosie

Powiedziałem to tak – jak gdybym był
dużo młodszy od niego:
co najmniej o tyle – co mój
trzydziestoletni wnuk

Dopiero po dłuższej chwili
z nagłym zdziwieniem – dziwnie zaskoczony
przypomniałem sobie
moje bez mała dziewięćdziesiąt lat –
i poczułem ich wagę

S a m e o k r ą g ł e d a t y – wyszeptalem w myśli
z niedowierzaniem że żyję tak długo
choć nie jestem filozofem
w dodatku tak wybitnym – lecz w porównaniu z nim
raczej kimś nikim

Popatrzyłem uważnie
na młodość wnuka – przejrzałem się w niej –
i już bez krzty zdumienia powtórzyłem w myśli:
S a m e o k r ą g ł e d a t y
– jakby to było jakieś wyjaśnienie
niezrozumiałych zrzędzeń losu

WIDNA NOC

Jakaż to noc nastąpiła dla mnie:
cały świat mocno śpi w czterech ścianach
wszystkie spojrzenia uwiedzione przez sny –
i tylko przed mym wzrokiem otwiera się ciemność
na to co w niej ukryte

Na próżno wicher zbija mroki
księżyc mami na przemian to blaskiem to cieniem
– na próżno gromy –
Przez wszystko co przesłania
jak nigdy przed tym odbieram w szczegółach

i jakby z wyprzedzeniem: – każdy ruch
odgłos – Nic nie ukryją miasta
pola knieje
– Nic nie ukryje ziemia – nie zatrzyma niebo
ani niczego nie zatają cienie

Widzę mieszkanie w uśpionym mieście
w którym za chwilę umrze nagłą śmiercią człowiek –
Słyszę ostry dźwięk skrzydeł leśnej sowy
i łoskot powalonego
przez wiatr badyla

Dokładnie rozpoznaję drogę
(dotychczas mi nieznaną)
którą się wkrótce potoczy los wielu –
i słyszę jak przez sen krzyczy
samotność starej panny tłumiona na jawie

Tylko swe imię nawisłą ciszą
całkiem głuży przede mną owa jasnowidna
noc – jakby mi chciała rzec:
Odnajdź je w śnieniach żywych i umarłych
nim się na niebie rozpostrze brzask

NIE KOŃCZ – JEŻELI

Skądże wiem o tym – że kiedy oczy
wyogromnieją aż tak
że cały wszechświat w sobie pomieszczą
a słońce przez nie przeleci jak złoty
ptak – i zgaśnie
– że właśnie wtedy koniec zetknie się z początkiem
iszcząc wieczny krąg
w imię Ojca i Ducha i Syna

A tu zaledwie wymknie się z bezwładnej
dłoni gromnica – spłonie dom –
coś bezpowrotnie się zatrzaśnie
jęknie ziemia
– Ciężko się zwali martwe ciało w glinę
cicho zaszumią w odlocie skrzydła –
czyjś cień osierocony legnie na mogile

A tam we wzroku odwróconym
rośnie ciemność
dymi od góry – iskrzy
i nagle się rozlewa niewstrzymanym blaskiem
uwydatniając – na nieokreślonym
tle – ludzką duszę
Skąd o tym wiem – jakby zawczasu
tu po nietrwalej stronie istnienia

Czy –
Nie kończ – jeżeli sądzisz że to niemożliwe

MIĘDZY WCZORAJ A DZIŚ

Te kilka godzin bezsennych – od
zmiernych do świtu
– O przypominam sobie: było wczoraj – jest dziś –
Wokół to samo lecz jakby inne
w poświacie brzasku:
bardziej subtelne cichsze tajemnicze

Pod cienką warstwą kurzu
ostrożnie szukam znanych przedmiotów:
poobijanych mebli – zwiędłych bibelotów
kopii van Gogha
– Ach wzbić się ponad zmienną postać rzeczy
odszukać nieodległą świetność: –

stały punkt odniesienia
wraz z orientacją w miejscu i czasie
– by móc ponownie
przejrzeć się jak przed laty niczym w lustrze troski
w spojrzeniu matki –
w nadal żyjącym wzroku umarłej

Znowu – jak niegdyś – wkroczyć w jego światło
bez niepokoju w dzisiaj – w którym
wszystkie przedmioty szybko odnajdują
swoją zwyczajną praktyczną postać
– zupełnie taką – jaką miały
w zapomnianym dzieciństwie

O KRÓLU ZIMY – BAŁWANIE

Któż by uwierzył że ten pyszny bałwan
który przez całą zimę stał
w poczesnym miejscu na podwórzu
– i którego dzieciarnia okrzyknęła królem
zimy –
skończy tak marnie w osamotnieniu
niczym ostatni nędzarz

Gdy tylko powiał nieco bardziej ciepły
marcowy wiatr – w południe odpadł mu
marchwiany nos
pod wieczór wypłynęły czarne oczy z węgla –
W ciągu paru dni bałwan zmienił się
nie do poznania – obrzmiał zmałał
poszarzał

Zsunęło się futro
wydając jego żalostną nagość
na grad i deszcze
– Wkrótce odpadła głowa – w końcu cała postać
rozlała się w kałużę –
Wstał jasny dzień – zadzwoniły ptaki
obeschła ziemia

Przedziwnym trafem w miejscu gdzie zginął
bałwan – sezonowy król zimy –
niczym o całą zimę opóźnione pазie
nieśmiało zakwitły pierwiosnki

ROZWAŻNA TWIERDZA

Masywna
wykuta w twardej skale
niezwyciężona –
która odparłszy wszystkie groźne szturmy
gdy czas jej minął – poddała się
bosej trawie

Nie mogła podjąć lepszej decyzji:
dzięki niej – dzisiaj
w cieniu jej wietrzejących murów
pasą się mleczne trzody
poranne wiatry dmą w szklane puszczalki
i nikt nie trwoży się o jutro

Zdjęto strażę
– Najeźdźcy obojętnie wymijają z dala
porosłe dzikim chwastem ruiny –
Czasem tylko turysta
przystając w dole na gruntowej drodze
oddaje hołd podziwem męstwu i rozwadze

Dwu trudnym cnotom z których:
pierwsza – gdy trzeba – odpiera złe moce
druga – gdy pora – poddaje szańce
ubogiej trawie – by na zawsze
utrwalić pokój
w miejscu – gdzie w bojach wyszczerbiony miecz

zatknięto w ziemię krzyżem –
wokół którego
roztacza się bezpieczna przestrzeń

JUŻ WIEM

A więc dopiero dzisiaj
gdy dość się napatrzyłem świata – zrozumiałem
co sprawiło że nagle mój wzrok
krótkowidza
ograniczony ciasnym horyzontem –
w jednym momencie stał się rozległą
bezgraniczną widownią

Doprawdy wystarczyło tylko
uważnie obserwować – zda się bezcelowe
pełzanie strużki wody
skądkolwiek –
ażebym pojął w jaki sposób
zupełnie najzwyczajniej dochodzi do
przerwanie granic przez zagarnięcie

Najpierw za ledwie
paru drobin piasku – kielka
aby już wkrótce strużka rozwinięta w potok
jęła połykać własne brzegi – głązy
żłobiąc koryto sobie pra-rzece
w odbitym cieniu w rwącym nurcie
krajobrazie

I oto jakby nagle – jakby zaskoczona
rozlewa się bezbrzeżnym morzem
nakarmiona ziemią
– i wciąż niesyta
sięga po srebrne grona gwiazd –
O już nie pytam – zamyślony
co stało się z mym wzrokiem krótkowidza

Już wiem – i już mi żadnych więcej
objaśnień nie potrzeba

LEGENDA O KACZEŃCACH

W starą legendę o kaczeńcach
krążącą z dawna po wsi
łatwo było uwierzyć patrząc na złocone
anioły – w starym drewnianym kościółku

Podobieństwo
wprost narzucało się oczom
i baśń natychmiast w wyobraźni
przyoblekała się w realny kształt

Jest wczesna wiosna – i oto o brzasku
złote anioły wyfruwają
spod kościelnego stropu
aby wkrótce przycupnąć na pobliskiej grobli

między stawami
jako błyszczące w wschodzącym słońcu
odbite w ciemnej wodzie kaczeńcowe kwiaty –
i już na długo tam pozostać

Pierwsza ich postać spiesznie powraca
do świątyni na poranną mszę
– zawisa u stropu
i grzecznie składa dłonie do pacierzy

Wydyma niemym śpiewem policzki
i uśmiecha się skrycie
(maskując uśmiech pobożnym skupieniem)
do wiosennego nieba słońca grobli

Do siebie pod postacią kaczeńcowych kwiatów
zupełnie tak jak było
w tej przypominanej starej legendzie
krążącej po wsi

OPOWIEŚĆ ÓMY

Ciemność jest drzewem nocy
– Słyszę jego głębokie milczenie
spotęgowane monotonnym śpiewem
pasikonika na
spowitym mrokiem krzewie

Łowią jego szumy
podobne tchnieniom spokojnego morza
co bezgraniczne – nigdy nie dosięga falą
nieobecnego brzegu

Ponad niepewnym zarysem ziemi
wyczuwam nietoperza
w pogoni za mną – i powyżej
wiotkie gałązki
gęsto obradzające młodymi gwiazdami

Rozchylam skrzydła
– spada w nie księżyc z kłosa obłoku –
Wołam: Lampionie lampionie – lecz on już
z wolna przygasa i w asyście
bladych obłoków schodzi z niebosiężnych wyżyn

Dojrzałe gwiazdy spadają w jeziora
nietoperz wyłącza radar
zatacza błędne koła
znika w pieczarze –
Drzewiasta ciemność rozplywa się w brzasku

Natomiast ja – nocny motyl – wracam
syta wrażeń z najdalszej w moim życiu podróży
z powrotem do katakumb –
na co dzień przyszpilona do półmroku
okrutnym promieniem

TO NIE TU

Zbigniewowi Jankowskiemu

To nie tu gdzie ciała
wbrew sobie bezustannie wpełzają w podziemia
a dusze ćwicząc siłę lotek
co dzień próbują – czy już
zdołają unieść je w słoneczną przestrzeń

to nie tu pora na odpoczynek
– na modły o sen
lub błogą ciszę – święty spokój –
Zbyt cenna każda chwila wobec doniosłości
zadań

Któż wie jak wiele dano mu czasu
na wzrost na naukę na dojrzałość –
na zrozumienie sensu – dostrzeżenie celu
na ukończenie dzieła
i na wieńczącą je radość spełnienia

O – to nie tutaj wygoda:
ciała do końca muszą zgłębić ból
dusze wycierpieć –
Tu o nic więcej prosić nie wypada
niż o dostatek sił

ŻYWE PRZYPOMNIENIE

Okazuje się że również i dziś
po tylu latach nieobecności
w tamtym czasie – można jeszcze usłyszeć
znowu jak niegdyś tamto wezwanie
brzmiące jak ni to rozkaz ni troskliwa prośba:
O c k n i j s i ę – I znów

można jeszcze zobaczyć
jak żywą – czyjaś oniemiałą postać
na gruzowisku – trzymającą
w kurczowo zaciśniętej – zwróconej ku niebu
dłoni
parę kobiecych zdartych trzewików

I ciągle można jeszcze usłyszeć jak wówczas
skargę – niczym żalosny refren
pełen niedowierzania
tamtej nie całkiem zakończonej pieśni
o walce i miłości – o klęsce i śmierci –
zabitym mieście

O głośno nucisz ten swój refren
anonimowy żołnierzyku – że aż
rozrywa czas
i aż po dziś – jakby szkarłatną krwawą pręgą –
gdy tak wciąż wołasz oniemiały
wznosząc ku niebu damskie trzewiki:

„Tyle mi po kochaniu pozostało szczęścia
w kurzu i błocie – w swędzie trupim” –
i patrzysz jak na wroga nieprzytomnym wzrokiem
na przyjaciela – który
dziś równie jak tam wtedy żywy
daremnie stara się ciebie pocieszyć

STĄD

Stąd wszystko legendarne
fantastyczne niepewne śnione –
Nawet początek własnego życia
ukryty w świetle podobnym do mroku

Stąd – trochę bardziej rzeczywiste
jedynie co bolało
jeszcze nie całkiem zgubione w przestrzeni
znieczulone czasem

Stąd się nie wraca –
Jak zmierzch – tak cicho się zamykają
wrota wyzbytych z treści wspomnień
wietrzeją twarze

Stąd już się nie da niczego rozpoznać
– i tylko serce drgnie czasem
na jakiś szmer czy szept
którego może wcale nie było

Stąd się nie wkracza w przyszłość:
niespostrzeżenie skończyła się droga
i można tylko cierpliwie czekać
na coś – nieznaną

Może uderzy jak grom z nieba
by piorunowym błyskiem rozłupać rdzeń nocy
– lub może zgasi wszystko:
i świat – i oczy

WIEJSKIE PORY

Andrzejowi Grzybowi

Nie dośni w wiosce mieszczuch
późniejszego miejskiego poranku –
Jeśli nie zbudzi go bociani klekot
ryk bydła – to na pewno
wyrwie go ze snu wniebogłośne
gdakanie kury
oznajmiającej całemu światu
że oto zniosła jajko

Bo tylko na wsi
gdzie wraz ze wschodem słońca przez otwarte okno
do mrocznej izby rącho wpada
młody dzień –
może gość z miasta przypomnieć sobie
zapomniane w śródmiejskich murach
naturalne –
zgodne z prastarym rytmem wszechświata
pory: krzątania się i odpoczynku

Tylko tu – na wsi
gdzie tak prosto się żyje jakby promień padał
– i tak cicho umiera
jak jesienny liść –
tylko tu jeszcze jak dawnymi laty
słońce zamyka i otwiera
ludziom powieki o właściwej porze
na jawę i na sen

REZYGNACJA

Zabrakło czasu i sposobności
na podróż dookoła świata –
Już nie zdołam utrwalić w słowach dla nikogo
jego obrazów

Pozostaną na zawsze – półmartwe półżywe
na widokówkach i ekranach
niczym bezwonne kwiaty
nieporuszone najlżejszym wiewem

Już nie tęsknię za nimi
choć w młodym wieku zazdrościłem nawet
podróżnym z Tytanika złowieszczego lśnienia
lodowej góry

Teraz – boleśnie przyrośniętemu
do skrawka ziemi przodków –
jawią się bardziej niezwykle widoki
ponad pękniętym horyzontem

A te strony o których niegdyś śniłem
mną nie ożywione –
dziś – obojętnie śledząc wędrówkę obłoków
żegnam – choć nigdy (ich) nie witałem

CZAS I DOM

Tadeuszowi Osińskiemu

Zwyczajne staje się niezwykłym
kiedy się nagle spostrzeże jak
szybko zleciał czas –
zarazem krótki i dość długi na to
by w nim tak wiele zdarzeń się nagromadziło
tyle żywotów się zaczęło
skończyło

I czyż nie jest dziwne
i niezwykle –
że w tym tak prędkim czasie ciągle stoi dom
w którym się niegdyś narodził mój tato
i że wciąż trwa – choć wokół niego –
i w nim samym
po wielekroć się odmieniły ludzkie
i nieludzkie losy

Trwa – mimo że mój ojciec
tak dawno zginął w niemieckim obozie
totalnej zagłady – i pomimo że
na pewno w tym domu
przyszedł na świat – ale grób jego
na zawsze jest nieznany

Oplęnęły ten dom bez naruszenia
jego substancji – złowrogie dzieje
niczym potop arkę przymierza –
Ileż to coraz nowych i niepowtarzalnych
ludzkich istnień dotarło w nim do
brzegu wieczności
– Wszystko przetrzymał ten murowaniec
przy niegdyśniejszym rynku małego miasteczka
i dziś – gdy szczątki mego ojca

leżą nie wiadomo gdzie –
on stał się dla nich siedliskiem pamięci
nowych pokoleń w tym spiesznym czasie
co wszystko grzebie
oprócz przesianej przezeń prawdy o człowieku

Czyż mogę patrzeć nań bez wzruszenia
ja – syn: – w ziemskim wymiarze
dwukrotnie starszy od mojego taty –
którego oblicze
im bardziej błędnie w mej pamięci
pod wpływem czasu –

SKOJARZENIE

Czy ta gorąca południowa
godzina
pełna w swym wnętrzu ślepo rozpędzonych
atomów – od zewnątrz zwiędła
była na tyle warta – aby ją opisać
w zimie

tego doprawdy nie wiem
– Raczej przypuszczam że się zaproszyła
w strofę – tylko przez przypadkowe
skojarzenie
śnieżki z motylem bielinkiem –
Bywają takie dziwne zbitki u poetów

Tak czy inaczej ujrzałem ją
niezwykle wyraziście
w mroźnym tle –
i świat zdrętwiała w niej od upału
jak tu od zimna – który nic nie znaczył
wobec tej śnieżki-motyła

I tu i tam – jakby poza czasem
jedynej żywej cząstki jakiejś
pramaterii
co niezależnie od wszystkich pór roku
tańczyła tuż przede mną w dwojakiej postaci
życia i śmierci – naraz

jak jeszcze nie wiem co
choć niejasno sobie przypominam

STOPY I ZIEMIA

Ciężkie są stopy człowieka
na naskórku ziemi:
– gdy idzie ranią – kiedy stoi gniotą –
Głębokie ślady jego pradawnej wędrówki
trudno się wypełniają

Jeśli marszruty nie powtórzy
pomału ścieknie w nie podskórna woda
– i odtworzy
rzeźbę terenu: lasy pagórki –
do których znowu spłyną po powietrzu ptaki

Nieraz przechodniu
popatrzysz z żalem na tve ciężkie stopy
co depcą
– i gdy rozpostrzesz życzliwe dłonie
ujrzesz swe chwytnie ręce jak stalowe kleszcze

zaciśnięte na globie
– Czymże się wyda wszystko ciało –
A jednak nawet jeśli cię przerazi
ów okrutny widok –
nie uciekaj

odetchnij
– Dokładnie policz szkody – i spisz je na straty
jako prawy gospodarz –
bo tylko tym sposobem możesz z sobą zgodzić
ciało i ziemię

MÓJ OCEAN

Tak po kryjomu rozlałeś się we mnie
oceanie – mój oceanie
– Tak skrycie pogłębiłeś – że jeszcze przed chwilą
nie wiedziałem że jesteś

I pewnie
– gdyby nie nagła burza z błyskawicą
która cię w moim mrocznym wnętrzu ujawniła
wciąż bym cię nie znał

A oto teraz się rozciągam
aż po nieznane granice mej jaźni –
i stojącemu na twym domniemanym brzegu
naraż wyrzucasz pod stopy naszą

wspólną zawartość
– O nie wiedziałem że aż tak obfita
zasobna w perły ryby zatopione statki –
w sól bursztyn i korale

Jednak od chwili gdy cię dostrzegłem
we mnie – nie dla tych bogactw tobą płynę
jakoby fala pełna śmiechu –
lecz dla bezkresnej ciszy twych tajemnych głębin

która mi obiecuje
– niczym łagodnie odbite od
mułu dna – boże echo
wspaniałomyślny dar wiecznego trwania

PODRÓŻE DO NIEDALEKA

Po tych naszych podróżach
całą rodziną do niedaleka –
zostały tylko fotografie
przyswiadczejące miłym snom – wspomnieniom

Wyruszyliśmy w nie
na rowerach – lub
wypożyczoną od sąsiada
furmanką – albo i pieszo

Zamawialiśmy na nie – wróżąc w przeddzień –
wszystkie pogodne i wolne
niedziele – Zaraz po mszy
świat się przed nami szeroko otwierał

zapraszał w pobliskie – jeszcze dotychczas
nie odkryte przez nas zakątki
– Obiecywał przygody
i skarby

Nigdy się nie zdarzyło aby nie dotrzymał
danego słowa
– Dziś – gdy rodziców i rodzeństwa nie ma
w każde chmurne święto

przypominają mi się żywo
wszystkie przygody naraz –
i odnajduję w starym albumie
nienaruszone przez czas pozyskane skarby

I muszę mu to przyznać – czasowi
zwłaszcza temu sprzed lat
– że był naprawdę niezawodnym
patronem

tych naszych zapisanych na wiekowych drzewach
i na upadłych gwiazdach –
cennych podróży
całą rodziną do niedaleka

Po prostu nie ma i nigdy nie było
straconego czasu
– To tylko pamięć – dopóki życia
błąka się w mgle wzruszenia

PSOTNA ŚMIERĆ

Albo znudziło się śmierci
jej monotonne prastare zajęcie
– albo się przeraziła własnego
żniwa –
pożałowała ofiar

Bo czymże innym można wytłumaczyć
że – coraz częściej
zwraca się do lekarzy – zwłaszcza do chirurgów
na poły z prośbą – na pół z rozkazem:
Wy decydujcie – ja umywam ręce

Zdarzyło się tak i dzisiaj
w operacyjnej – pełnej blasku
przestronnej sali
kiedy na czulej wadze wahało się życie
starej kobiety – z woli złego losu

jedynej opiekunki dwojga
nieletnich wnucząt – już skazanej
odgórnym wyrokiem na zgon –
właśnie w tym dniu o którym mowa – mimo
że rozpaczliwie napierała się

wrócić do dzieci
– Śmierć popatrzyła na nią przenikliwym wzrokiem
i nieoczekiwanie –
w decydującym momencie
szepnęła do chirurga: Ty sam postanów czy

przeciąć tę nić – I tak jak była
– przeźroczysta
usunęła się w cień
jakby z przelotnym błyskiem psotnego uśmiechu
w wklęsłych kącikach wąskich marmurowych warg

KWIATY PUSTYNI

Wzejdą – gdy tylko ponad wydmami
gdzie każde ziarnko piasku stokroć opłukane
gorącym wichrem –
przeleci wzdęta burza z piorunami
i napoi – jak odwieczną skargę
śmiertelne pragnienie
pustyni

I zakwitną pod słońcem w drżącym od upału
przestworzu chyba
prawie cudem – nierzeczywistą mgłą
pastelowych kolorów
– w pół oderwaną od pustynnego
palącego podłoża migotaniem światła
w porannej ciszy

I uleci ten miraż
już od początku nieprawdopodobny
zdumionym oczom jak chwilowa baśń
jak sen
– Jak sen co przekroczywszy granice zachwytu
rozwiął się nagle w pustynnej przestrzeni
pawim dymem

AMARANTY

Amaranty amaranty –
Znowu łopocą chorągwie nad głową
i znów srebrzystym skrzydłem w górze
lśni biały orzeł
– I można by się cieszyć
gdyby nie tylu naraz przysypanych gruzem
i pamięć – co wciąż wyrzuca na wierzch
straszne wspomnienia

W nich obce nazwy pobrzmiwają swojsko:
Birkenau Katyń Dachau
Łubianka –
wszystkiego już nie wymienisz
– Amaranty amaranty –:
orzeł się zmienia w kulę z ołowiu
przeszywa serce i napełnia czyjeś
puste oczy płaczem

A żywi już za starzy lub jeszcze za młodzi
by się radować rocznicą niczyją
– Amaranty amaranty –
jak rozdeptane krople czyjejś krwi na bruku
nie przypominane – zapomniane
starte na pył –
Zaorane wraz z kurzem
przez gąsienice pancernych rydwanów

DO HOIMARA VON DITFURTH

Zwracam się do ciebie z ziemi
gdziekolwiek teraz jesteś wspaniały człowieku
o greckiej posturze –
i jakkolwiek masz teraz postać

Chcę ci wyrazić mój szacunek za twą
skromną mądrość
która cię uchroniła przed nadętą pychą
ośnionych do utraty wzroku

ludzką wiedzą
w której też miałeś niemały udział –
Pragnę wyrazić ci mój podziw
dla twej odwagi wobec niedowiarków

poświadczoną wyznaniem:
J e s t e m w i e r z ą c y
– Wiele znaczą słowa takiego człowieka
jak ty

który nie zaparł się w swym pysznym
otoczeniu
wiary w wszechmocny twórczy ponadludzki Rozum –
i który dostrzegł Go w przeogromnej

różnorodności
żywych i nieożywionych form
materii

Było w tobie Hoimarze
coś z Sokratesa i z Platona –
coś warte więcej niż jednego wiersza
od nieznanego poety

Lecz niech choć ten
odda hołd tobie gdziekolwiek jesteś
w pełni świadomy siebie –
niezawiedziony w swej odważnej wierze

SPOTKANIA Z MATKĄ

Moja od dawna nieobecna matka
ma zwyczaj zaskakiwać mnie –
ukazując się z nagłą od czasu do czasu
na szarym tle domowych zajęć

Porzuca je – i obejmując moją
małą siostrę
cierpiącą na ból zęba
tworzy wraz z nią coś na kształt grupy Laokoona

Jej macierzyństwo jest równie bezradne
teraz jak kiedyś – gdy mówi:
Chciałabym cierpieć za ciebie dziecko –
i obie płaczą

Cóż za scena: orkiestra bólu
w widmowej jamie ustnej
mojej od lat już nieżyjącej siostry –
i ta – wciąż żywa matczyna troska

Ów obraz macierzyństwa nigdy nie trwa długo
– Zanim nasycę nim wzrok
cichnie i znika –
a ja za każdym razem pytam

choć przecież znam odpowiedź:
Co chciałaś mi powiedzieć moja matko
tym razem – Co chciałaś mi powiedzieć –
Dal milczy głucho

ZIMOWA FANTAZJA

Są miejsca i chwile
przeznaczone tylko dla samotnych –
Nawet najcichsze ujadanie sfory
natychmiast burzy je
bezpowrotnie

Pamiętam – w jedną z takich pór
wezwany przez mroźną zimową noc
przywiązałem narty –
i sam nie wiedząc po co i ku czemu
ruszyłem w drogę przez ciche
zaśnieżone pola

najzupełniej samotny
– I chociaż dobrze czułem dookolną kruchość
mknąłem skroś niej póki pod nartami
nie urwała się nagle stromym
cieniem ziemia

O co za skok –
I już wiedziałem po co wezwała mnie ta noc
z chwilą – gdy zaprosiła mnie do tańca
na balu gwiazd – najjaśniejsza z nich
– najbardziej moja
promiennooka gwiazda

DO PORANKU

Są zjawiska i stany promiennej materii
które się pojawiają tylko
o wschodzie słońca
kiedy pogoda raczy sprzyjać światu

Nigdy nie trwają dłużej niż
poranna rosa na murawie –
niż cisza zawieszona w przymglonych ogrodach
między brzaskiem a świtem

Tyle razy zwracałem się do ciebie
poranku z pytaniem:
Co chcesz mi powiedzieć na progu dnia –
czując za każdym razem drżące w tobie słowo

Lecz nigdy nie zdążyłeś z wieścią
– Zawsze zbyt krótko w twym imieniu śpiewał
ptak – szeptały drzewa –
Zawsze zbyt szybko ciszę dzień zagłuszał gwarem

I dziś tak samo – Znowu trzeba będzie
cierpliwie poczekać na nową
okazję – aby
powtórzyć swoje stare pytanie

i znów – jak zwykle – nie otrzymać na nie
pełnej odpowiedzi

WYMUSZONA DOROSŁOŚĆ

Szum wiatru w trawie
rozczesany na głosy hen u widnokregu –
ociekające miodem złote
łubinowe pola
– i w zakisłej sadzawce
tysiąc plus jedna wróżb do spełnienia

Do tego jeszcze:
słońce obłoki siarczysta ulewa
taniec dziewanny na pagórku –
i w rdzeniu ciszy na tle pogodnego nieba
szczebiot skowronka
niczym mszalne dzwoneczki w kaplicy

I pomyśleć – że to się
wszystko razem złożyło na moje dzieciństwo
w spokojnym czasie –
aby się rozwiać jak garstka śmieci
z chwilą – gdy trzeba było dziecku
zmęźnieć niemal z dnia na dzień

– na oślepe
z strasznym widokiem w porażonym wzroku –
i iść z nim dalej w przyszłość – nie-przyszłość
jak – z raz na zawsze
najciemniejszym płomieniem wypaloną w duszy
skrycie drążącą

BEZ ZDZIWIENIA

Już nie budzi zdziwienia – że dziś
obawa może poprzedzać pytanie
o to – co by obecnie opisywał Dante
rzeźbił Michał Anioł – malował
Rafael

Już nie dziwi lęk z którym by musiała
zmierzyć się teraźniejszość – aby
spokojnie i bez wstydu przejrzeć się
w czystym lustrze przeszłości
tak – by nie skłamać

Na to dzisiejsza rzeczywistość
nigdy się nie odważy – czując pośród mroku
jaką ma twarz – i co przez nią wyziera –
budząc tak wielki wstręt
że mógłby nawet zabić

Nie łatwo przejrzeć się łotrowi
spod ciemnej gwiazdy
w swym niewinnym dzieciństwie –
popatrzeć na swe krwią zbrukane ręce
dostrzec w swym wzroku płamę sumienia

Który poeta się odważy
ukręcić bicz ze słów
aby nim schlastać taką rzeczywistość –
Kto namaluje obraz obrzydliwej twarzy
– wyrzeźbi podłe ślepie

Tylko myszy skrobią w ciemności –
i wilcze stado pod niebem bez gwiazd
zarzyna w niej proroka
– I już nie budzi w nikim żadnego zdziwienia
to – że obawa poprzedza pytanie

PO OPERACJI

Wszędzie biel z której
ulatnia się wszechmogący głos –
Czuć go eterem kiedy zwiastuje że:
Operacja udała się

Lecz ja – jak każde nic
które nie zmarło
gdyż nigdy nie narodziło się –
pomimo usiłowań

nie mogę pojąć tego obrazu
zawieszonego w próżni – na którym wciąż
przekwitają niewidoczne
magnolie – Dlaczego magnolie

Na próżno staram się dostrzec
czy to ich jedwabiste płatki
przykrywają tak lekko
mój grób czy życie – gdyż raz jest tak – raz nie

Biel woła – Jej głos rozsadza chyba
wszystkie sklepienia świata:
Już wszystko dobrze – wszystko dobrze –
Ma rację – mnie nie ma

Na szpitalnym łóżku leży mój sen
– nic go nie boli

MANDRAGORA

W zapadającym zmierzchu
raptem rozlega się nagłący głos –
jakby przedsenny klakson ptaka:
Wejdźcie w ognisko

Na stertę mroku padają naraz
jak drżące cienie dwie postaci –
i nagle płomieniejąc
ciskają łunę na ciemny firmament

Miękko przylega obłe wzgórze do doliny
– i słyhać jak się w drzewnych słojach epok
gwałtownie pieni krew
gdy cienie razem wstępują w żar –

topnieją
– i zlane w jedną ognistą bryłę
eksplodują gdzieś poza czasem i przestrzenią
aby wśród wtórnej ciszy

okrzepnąć w wspólne czułe słońce –
Nastaje nowy dzień – pusta szpalta
na której wyskakuje jedno zagadkowe
słowo – drukiem: m a n d r a g o r a

ABY POSIAĆ ZIEMIĘ

Jeśli ktoś z ludzi chciałby posiąć całą ziemię
choćby na chwilę –
musiałby najpierw od niej się oddalić
na długość jej cienia – i
swego życia

I jeszcze:
odłączyć wszystkie zmysły
– Niech wzrok spogląda osobno z wzgórza
słuch podsłuchuje przez szczelinę w chmurze
węch niucha w mchu

A on ukryty za najdalszą gwiazdą
nieobecny – i bez wpływu na nic
niech tylko biernie czeka na
spełnienie swych pragnień – za cenę
dożywotniego odosobnienia

Dlaczego właśnie tak – odpowiedź prosta:
– cały człowiek
choć tego nie dostrzega jest zbyt okazały –
Spłoszyłby swym ogromem
nie tylko pył czy kamień

nie tylko drzewo – dzikie zwierzę
– On w swej ukrytej do czasu istocie
spłoszyłby znacznie więcej niż ziemię –
jeśliby nie był
w tej swojej jakże prostodusznej

bezwiednej potędze
ograniczony śmiercią
– To właśnie ona wszystko mu odbierze
i wszystko zwróci – cokolwiek z ziemi
uszczknęły jego chciwe odłączone zmysły

ROZMOWA W OBŁOKACH

Gdy się oddalasz – ginę
kiedy się zbliżasz – znowu rozbrzmiewam
grzotem organów – szczebiotem jaskółek
– Rozchybotany lot mój ponad wzniesieniami
wielbiących wzruszeń

Kościół na przemian upada – znów
podnosi –
W tej samej chwili schodzę do katakumb
– miserere –
i wzlatuję w niebo

O – jakież zawrót głowy
gdy czuję w sobie naraz pragnienie pustyni
padlinę – sępy –
i spływające z lodowych gór
potoki

Proszę: Przystań na chwilę w jakimś
zacisznym miejscu – nie bądź niecierpliwym
koneserem sztuki
oceniającym dzieło raz z bliżej raz z dalej –
Popatrz na całość – pominię szczegóły

Ty – który równocześnie
wszystkie zdarzenia i światy obracasz
w prochy – w daremny pokój i daremną wojnę
– by je natychmiast odtworzyć w stokroć
doskonalszej formie

– proszę: Zaprzestań – odpocznijmy –
Bądź twa niedziela

POWIEŚĆ I ŻYCIE

Selkirk – lekkomyślny młodzieniec
oddany bezludnej wyspie
przez rozgniewany żywioł zły los i przygodę –
dzisiaj już tylko na pożółkłych stronach
przypomnianej książki

Selkirk samotny
jako Robinson Cruzoe
z powieści Daniela Defoe –
Selkirk narzekający chociaż tylko jemu
udało się ująć z życiem

Piękna wyspa – jak
niemowlęce marzenie Rousseau:
ciepła glazura plaży – owocowanie zieleni
tęczowe wloty rajskich ptaków – i on
nieszczęśliwy

A teraz – tutaj
tak wielu którzy zazdroszczą mu
zatruci oparami współczesnej cywilizacji
w której samotność dotkliwsza niż tam –
nieporównanie więcej niebezpieczeństw
– i gdzie na zawsze wyschło źródło
pierwotnej ciszy

Doprawdy wielu
chciałoby przeżyć twoją przygodę
Selkirku –
Zaszyć się bezpowrotnie na twej wyspie
spokojnie żyć
– A jeśli wypatrywać ponad horyzontem
to tylko pogodnego nieba

Szkoda Selkirku że dzisiaj już nie ma
podobnych wysp
– Kiedyś czytając w chłopięcym wieku
powieść o tobie bałem się ich – lecz dziś – postarzały
wciąż za nimi tęsknię –
Żegnaj Selkirku – wpłyn w mój sen

LABIRYNT

Wielkie to szczęście że z chwilą gdy
pełen nadziei
przekroczyłem przed laty
kuszące wrota świata dorosłych

niespostrzeżenie przycupnęło przy nich
moje – przeze mnie porzucone
bez odrobiny żalu
dzieciństwo

Nawet go wtedy nie pożegnałem
tłocząc się w hałaśliwym miejscu –
Nie poświęciłem mu choćby jednego
serdecznego słowa

Wspomniałem o nim dopiero gdy
krążąc bezradnie po labiryncie świata dorosłych
zupełnie w nim się – mrocznym – pogubiłem

Wspomniałem o nim jak o słońcu
i jak o prostej ścieżce
w na wskroś szeroko otwartej przestrzeni –
jak o domu

i jak o dawno zmarłym
– Ale to ono w chwili kiedy już miałem paść
z wyczerpania i głodu – nagle
ukazało się moim obłąkanym

oczom jak żywe – i to ono
wywiodło mnie z tego
straszego labiryntu – jak się okazało
przez cały czas związane ze mną

złotą nitką
wysnutą z jego wiernego serca
– O ileż wstydu
że o nim czekającym na mnie u wrót

zapomniałem
– Ile wdzięczności dlań
za to że znowu o nim pamiętam –
Niańczę je w sobie

PRZEMIENIENIE

W największym napięciu
urody świata –
gdy piękno całkiem odwraca oczy
od ginącego ciała
umiera się w zachwycie bez lęku i żalu

Bez żalu – bo cóż jeszcze więcej
można by otrzymać
– Bez lęku – bo jak można by mu ulec
całkiem pokonanemu w zmysłach i w naturze
zdumiewającą urodą świata

Cudowne przemienienie:
– oto posiadłszy wszystkie skarby ziemi
dłoń i świadomość pustoszeje
po to – by przyjąć o wiele więcej
(nieskończenie) – niż można sobie wyobrazić

Kto szeptem podpowiada:
Ucałuj glebę gdyż w proch cię oblekła –
ucałuj progi – tam matka stała –
ucałuj słońce gwiazdy – skąd światłość opadła –
ucałuj mroki – tkają sny

jak kolorowe pajęczyny
– Życie skończyło się
życie rozpoczęło się –
Jego obfitość w naturze przepelnia
słodczą kielich dawnej goryczy

NA PUSTEJ DRODZE

Zostawić siebie
na którejś pustej drodze
w nieruchomej bezwietrznej przestrzeni –
Zmaleć po niewidoczność do rozmiarów ptaka
zanurzonego w błękitnej otchłani

Być radosnym śpiewem
słonecznego promienia – ciszą głuchej nocy
liściem z którego powiew otrząsa
kroplę gorzycy – kruchy osad pyłu –
Być drzeniem kryształu

Czekać na siebie – równocześnie
uwalniając z dłoni
sznur od latawca – Śledzić
jego swobodny karkołomny lot
pod rosnącą chmurą – i jego upadek

Powrócić w siebie
– Uczynić dalszy niepewny krok
na którejś pustej zaniedbanej drodze
w nieznanym kierunku –
Ciągnąć pod wiatr i górę ciężkie brzemię losu:

wyrok i karę za niechciane grzechy –
Wierzyć w odkupienie

LAS ZIMĄ

Zamarzył ostatni jesienny deszcz
i zamknął już gotowy do letargu
las – obdarty z liści
w ogromnym – przezroczystym
kryształe mrozu

Są z nim tam razem: blade pasemko
nieba – skrawek zimnego słońca
bańka powietrza – kropla ściętej wody –
Jest również olbrzymi księżyc
w mnogiej asyście wytrzeszczonych gwiazd

Głucho milczy ten kryształ z zamkniętym w nim lasem
– lecz – jeśli go potrącić
choćby nieznacznie – cicho zadźwięczy –
Jakby z bieguna ziemi doleci zeń –
i jak z pozytywki

krakanie samotnego kruka
i ledwo dosłyszalny szmer
osypujących się z konarów śnieżek
– poświst wichru
nikły szczebiot sikorki

Tylko tak – w stanie hibernacji
może las przetrwać zimę
doczekać się nowej wiosny – która
uwolni go z tej niby kryształowej trumny
by mógł się znowu zazielenić

Przechodząc blisko zimowego lasu
trzeba bardzo uważać: lekko stawiać stopy
tłumić rozmowę – Tyle dopowiem:
kruche są – kryształ i gałązki
śmiertelne drzewa

ALLELUJA – JUDYTO

Miałem piętnaście lat
gdy po raz pierwszy przeczytałem
Księgę Judyty
i zobaczyłem na płótnie Cranacha
ją – piękną – trzymającą odrąbaną mieczem
– jej mieczem i jej ręką –
martwą głowę Holofernesa

Dzisiaj – po latach
dokładnie przypominam sobie mój
odruchowy gest i okrzyk:
Nie – Judyto –
jakbym chciał cofnąć tamtą dawną chwilę
– i tknięty odrazą
wstrzymać jej dłoń

Jak mogła – czemu ją chwala
– Dopiero rychły najazd „nadludzi” z sąsiedztwa
radykałnie uwolnił mnie od tych
natrętnych pytań –
Na tle totalnej zbrodni – tamta
zajaśniała przedziwnym blaskiem poświęcenia
i kary bożej

za napaść pychę – niewieścią ręką
– Nie myli się Kościół mój –
Lecz ja zapewne myliłem się prosząc
niebo o drugą Judytę – która
zabiłaby Hitlera
– Inne nastały czasy – i gdzie indziej wina
gdzie indziej kara – najwyższe wyroki

A ty mi wybacz mężna Judyto
z dystansu wieków – z domu Pana
ten mój młodzieńczy nierozsądny protest –
Dawno już zrozumiałem dlaczego cię chwala
i to –
że twa pozornie straszna zbrodnia
jak kwiatem zranić – całkiem niewinna

PRZEPOWIEDNIE FILMY

Coraz to bardziej cięży ludzkości
skryte przeczucie –
i coraz częściej nasuwa się
niespokojne pytanie

o to co będzie – gdy
nagle o szarym świecie
rozpocznie się inwazja na uśpioną ziemię
przybyszy z obcych nieznaných planet

Kim się okażą: dobrzy czy źli
mądrzejsi od nas –
o wiele więcej niżli my wiedzący
bardziej prymitywni

Póki co krążą tylko filmy
science fiction –
jak niegdyś powieściowe proroctwa Vernego
które rychło potwierdziła przyszłość

I na razie po
obejrzeniu jednego z nich
pewien małolat schował się pod łóżko –
ale jutro kto wie

– kto wie –
czy o szarym świecie nie spełnią się
te coraz bardziej nieprawdopodobne
a zatem bliższe prawdzie filmy

– Kto wie –

MAŁA WIELKOŚĆ

Krzysztofowi Kuczkowskiemu

Jeżeli jest gdzieś odpowiednia miara
to ten ptak – nieduży
organ żywego głosu
na zawsze pozostanie wielki

Tylko on jeden w szaleństwie krwawej
bitwy – toczonej na wiosennym łonie
natury – przez rodzaj h o m o
nie postradał zmysłów

W dole zgiełk zamęt
– wykrzywione wściekłością ludzkie nieludzkie
twarze –
huk dym płomień – trup ściele się gęsto

I nad tym polem nienawiści
on – skowronek
jak gdyby nigdy nic
(wyobraź sobie) śpiewa radosną piosenkę:

swój srebrzysty hymn na cześć
zapomnianego przez człowieka Boga –
Różni dostali po bitwie
ordery za męstwo

Ale w pamięci prawych
i sprawiedliwych – jedynie on –
skrzydlaty patron krwią zbrukanej ziemi
na zawsze pozostanie prawdziwym zwycięzcą

W WĘZLE CZASU

W te najsurowsze zimy
które akurat dziwnym zrządzeniem
losu – przypadły na czas
śmiertelnych zmagania pomiędzy frontami

i ku którym co noc zdążali
zbrojni ludzie jak wilki –
tu przyleciały stamtąd kolorowe ptaszki
niezwykle ufne – i obsiadły drzewa

I gdy tam z ruin z ciał – pokładów lodu
wydobywał się jęk –
i płatki śniegu przykrywały
wrzącą na mrozie jeszcze żywą krew

– tu – na pociechę zniewolonym ludziom
jakby na mgnienie otwarło się
pogodne niebo – a w nim
skostniałe drzewa niczym choinki

przystrojone ptaszkami
– i jak niemal cud
znów jak przed wojną betlejemska noc
pośród strwożonych głodnych zatroskanych gniewnych

Śniło się tylko – czy oczy naprawdę
i tu i tam
widziały to samo –
co może widzieć tylko dusza

udręczona przez życie – albo
wyzwolona przez śmierć

PIERWSZY POCALUNEK

Inne to były czasy:
oboje młodzi – prawie dzieci
po równo zaskoczeni tym – co się
pomiędzy nimi stało – i nieomal że jak
przed sakramentem
przed pierwszym pocałunkiem

O jak prześlicznie zawstydzona
nieśmiała czułość – gdy im wiosenny wiatr
podpowiadał:
Jeszcze przez chwilę poczekajcie na
słowika – szczęście będzie większe

Jeszcze na księżyc – by ukoronował
śniące miłość głowy –
Jeszcze na drzewa – aby szumem
wzmogły czar – I tylko do niej: Zamknij
oczy – Tylko do niego:

To twoja róża
– pocałuj mocno – a my – wiatry
zerwiemy słodycz z waszych warg
by ją na zawsze powierzyć tej nocy
nigdy niezapomnianej – nim rozbłyśnie świt

I nie wiadomo było co jest:
jawa czy baśń
– W powodzi mrocznych zdarzeń utonęła chwila
nastaly nowe czasy –
w które skapnęła cięższa od ziemi – łza

W ZIMNYCH ŚCIANACH

Zimno tu
jak na stare kości – których młodzieńcza krew
od dawna już nie rozgrzewa

Bardzo zimno –
A jednak pod oszronionym
sufitem – wokół elektrycznego

pędu – z kwiatem żarówki
nieustannie krążą kolorowe wiersze
przebrane za motyle i ćmy

Trudno uwierzyć że wypoczwazone
w zamarzniętej
głowie – pieczarze jaskiniowych snów

Zimno tu – mroźno – lecz mimo to
pod ścianami z lodu
wspaniale kwitną egzotyczne kwiaty

– i doprawdy nie łatwo byłoby uwierzyć
że weszły dopiero co
z zamarzniętej bryły czyjegoś serca

wysiane z dłoni-kry
w pośrodku zimy o bladym świetle –
Bardzo zimno tu

I MNIE DZIŚ TAK

Któż wie dlaczego w zgiełku
bieżących spraw do załatwienia
nagle ni stąd ni zowąd komuś przypomni się –
zdawałoby się że już na zawsze
zapomniany – jakiś epizod
z odległej przeszłości

I mnie dziś tak
całkiem zniecka się przypomniała
pewna żebracza postać –
Z mgły czasu raptem wychynęło
pocziwe
i jakby już za życia wniebowzięte

oblicze nędzarza
– I znów ujrzałem jego roześmiane oczy
gdy mnie zapewniał – mówiąc łagodnym
głosem: Mam wszystko co potrzeba:
słońce powietrze – jałmużniczą kromkę
chleba – wodę

I znowu czynił szeroki gest
s o b i e-p a n – sprawiając
że wszystkie wokół c z y j e ś ogrody
przeobrażały się w cmentarze –
i wszystkie c z y j e ś zbytłowne pałace
w już ostatecznie zapomniane

mogły
– Ukazał mi to i znikł –
Jeszcze tylko przez chwilę w lśniącym blacie biurka
obciążonego stosem pilnych spraw
do załatwienia – odbijał się jego
daleki uśmiech jak polny kwiat

O KOSMICZNYM PĘDZIE

To pęd niepowstrzymany
w którym się światy odłamują
w bezkresnym kręgu matowego światła
od przestrzeni –
i mknąc przed siebie zbitą masą
bez nazwy kształtu brzmienia koloru
prószą skrzącym popiołem zdmuchniętych galaktyk
w struchlałe oczy

Niepotrzebnie zaciskacie się
powieki –
Niepotrzebnie osłaniacie dłonie
przerażone oblicza
– Ta masa tuż przed wami nagle się rozprysnie
tęczą –
Oto już przeleciały
lądy i morza – niebo i ziemia

W rozsypce przeleciała mosięzna orkiestra
jaskrawych dźwięków –
Z pośpiechem pełnym bezgranicznej grozy
jako pył czasu przemknęły miasta
i jeszcze tylko w miejscu – które znikło
tkwi obłąkana myśl
jak żywy atom – wciąż jeszcze niepewna
siebie ani początku – ani końca dziejów

Czy rzeczywiście jedynie ona
ostała się – gdy wszechświat przeminął
pęd ustał – i już nic więcej
na jego gruzach jak na smętnej
ciszy – nie poruszy się –
– Nieprawda – wciąż przecież czuję że również ją samą
pociąga jakiś potężny magnes:
niewidoczna przyczyna i ośrodek

wieczystego ruchu
przed którym mimo woli przyklęka –
i nie znając go
nie z samej siebie – ale z głębi serca
pędząc razem z gwiazdami obłokami ziemią
na pół świadomie szepce doń: Życie
– moje życie –
M o j e ż y c i e w N i m

ARIA W KUCHNI

Z popołudniowej drzemki
zbudził mnie szcęk kuchennych naczyń –
Przespałem burzę – i ponownie jest
pogodne okno
z tańczącą w wietrze gałązką forsycji

Z kuchni rozlewa się słodki zapach
– nasłuchuję przez chwilę –
O bez wątpienia zgromadziły się w niej
i rajcują
kobiety z całego świata

– również feministki
i te co jeszcze tak niedawno temu
w grubych brulionach pisywały
liryczne wiersze –
a dziś w tych samych z skrzętnym przejęciem notują

gastronomiczne receptury –
Mile brzmią żeńskie głosy
– dziwi – jak żargon kuchenny pozwala
porozumiewać się damom –
Włączyły radio – tenor śpiewa:

L a d o n n a e m o b i l e
– Raptowny krzyk: Przypaliło się ciasto –:
Gorzkawy swąd wsącza się w pokoje
i niemal słyszać jak niewiasty
załamują ręce

zanim wybuchną beztroskim śmiechem
i zagłuszą nim nieśmiertelną arię
z R i g o l e t t a
– i nim przez uchylone do wietrzenia okno
wleci wraz z wiatrem osa

Tyle nam z uczyty pozostało
gospośiu moja

NIE DO OPISANIA

Ani jednego obłoku:

– poranna ziemia dzień jasny wiatr bystry –
Prężne wierzchołki drzew na próżno
usiłują opisać
pustynne niebo

Nie ma w nim nic do opisania – nic
Przemknęły dwa gołębie – utraciły temat
– Bo jak opisać rozcieńczony
wiekuisty błękit –
n i e m y w y r a z

obleczony w ciszę
nigdy nie usłyszany chociaż wyczuwalny –
Zawieszony w nim słoneczny pył
jest tylko pyłem słońca
i nie można go użyć do opisu nieba

Wypada mi zatem poddać się
złamać bezradne pióro –
i z rezygnacją zanurzyć się w owym
beztreściwym błękicie tak jak słońce gwiazdy –
by go choć trochę wypełnić sobą

A to nawet przyjemne
mimo że całkiem nieczytelne

POCHWAŁA WODY

Bądź pochwalona wodo
w swojej potrójnej widzialnej postaci –
Nie sprostą tobie żadna inna ciecz
znana na ziemi

Tylko ty jedna szeroko rozlana
na jej powierzchni stale krążysz
życiodajnym obrotem między nią a niebem –
chrzcząca i poświęcona

Wdzięczna ci dłoń co w swym stuleniu
podaje ciębie spragnionym ustom –
Urzeczone spojrzenie zorzą i obłokiem
ukołyszany słuch piosenką deszczu

O jak spokojnie w wieczornej mgle
zasypiają góry
– Jak ufnie budzą się w niej – porannej
ukryte ptaki

I tylko dzięki tobie
liczne poroża pozłacane słońcem
kłonią się zgodnie u wodopoju –
niebo się mieni tęczą w źródle

Cóż by się stało bez ciebie z życiem
na ziemi – co z radością bez łez –
Zatem – że jesteś w swojej potrójnej postaci
wodo

tak nadzwyczajna i tak bardzo zwykła
– tak niezbędna –
bądź pochwalona w swojej potrójnej postaci
wczoraj i dziś – i jutro

SPOJRZENIA DŻUNGLI

Niezawodna jest musztra spojrzeń
pierwotnej dżungli
w chwili – gdy skierowane raptownym impulsem
ogarną naraz ze wszystkich stron
dziewiczo rozpasanej zieleni
zbędną postać intruza

A wszystkie jednak niechętnie – czujne
potępiające obcy ruch –
zuchwałe lękliwe złowrogie
– szacujące ukradkiem potencjalną zdobycz
albo pozornie obojętne – lecz
niemniej od tamtych groźne

Pod ich skrytym naporem nieustannie pada
w stężonej woni wyrafinowanych –
dyskretnie lśniących w mroku kwiatów
czyjeś wybrane na ten czas
anonimowe życie

Wszystkie spojrzenia przyczajone w gęstych
splotach konarów – wnękach świątyń –
wszystkie żuwaczki szpony dzioby kły
– zaledwie chwila –
i oto intruz ginie jak gdyby wsiąkł w przestrzeń

Nasycone spojrzenia
stają się senne – pod powiekami
całkiem podobne do matowych szkiełek
i tak jak one – znów:
lękliwe łagodne – obojętne łagodne
nieżyczliwe i okrutne – łagodne

zupełnie jak dobrze ułożone
do polowań – psy

PRZECZUCIE TRWANIA

To niezwykle przeczucie jest jak szept
ewokujący pewność
– I już wiadomo dlaczego ktoś raptem
pragnie zamieszkać w spadłym murszejącym liściu
w wysychającej kropli wody –
w pyle z sandałów

We wszystkim co jest słabe nikłe udęczone
– co wzgardzone pół-żywe
zziębnięte –
Już wiadomo dlaczego bogacz
dzieli się opłatkiem
pomnaża chleby – zmienia wodę w wino

Czemu potężny władca odpasawszy oręż
przywdziewa łachman
i brata się z siermiężnym ludem –
Nagle objaśnia się prawdziwa moc
tkwiąca w słabości – i jej przeznaczenie
w nowym porządku wszechrzeczy

W wyczerpaniu tak wielkim że zło je pomija –
lecz w którym nieoczekiwaniu
budzi się wiara
– wpierw jako iskra – wkrótce
wciąż podsycana wichrem serafickich skrzydeł
jak gdyby bujny wskrzeszający pożar

I w nim to właśnie co dotychczas
było za ledwie mglistym przeczuciem
w człowieku śmierci –
zmienia się nagle w pewność zrozumienia
– co choć zdumiona – już się niczemu
więcej nie dziwi – lecz tylko adoruje s e n s

CHWILE

Niezmiennie urzekająca jest
każda chwila –
przepelniona po brzegi trzema kropelkami:
miodu mleka i wody ze źródła

I błogosławiona jest
każda chwila – nad którą w rozpostartej ciszy
kołysze się cień w intensywnym blasku
słońca o południu

Niezwykła jest każda – w której
wiatr kreśli na piasku tajemnicze znaki –
a ona jakby wpatrzona równo
w oczy śmierci i życia

nagle się słania blednie – znika
w bezkresnym błękiecie
pozostawiając po sobie tylko
ostrą woń macierzanki i milczenie nieba

Wszystkie spotkałem na rozstajach
przy męce pańskiej – i mam je w sercu
oprócz ostatniej – która umknęła stąd jakby
naraż – pod wpływem trwogi i zachwyty

O LĘKU ISTNIENIA

Długo i potajemnie wzrastało w człowieku
ciśnienie lęku – nim rozpoznane
jako klaustrofobia
strąciło z duszy masywną pokrywę
w dwudziestym wieku –
ale bynajmniej nie zmałało

I wciąż na próżno szuka dla niego
ujścia – paniczną trwogą ogarnięty człowiek
przykuty do ziemi –
i uwięziony w dźwiękoszczelnej
czasoprzestrzennej celi

Na próżno chowa głowę – jak struś
w rozkoszy i zbytku
– Żaden wysiłek ani znużenie
ani nic z ziemi – z ciała
choćby na chwilę nie uśmierzy
coraz gwałtowniej eksplodującej w nim
egzystencjalnej trwogi

Na próżno trują się uczeni
daremne ich wyprawy na progi kosmosu
– Jedynie gdyby powrócili
do zarzuconej intuicji dziecka –
bez trudu by znaleźli ujście dla ciśnienia grozy
tuż obok fałszywego – w śmierci –
w zapomnianym Bogu

PRZY DRODZE

Wszystko było przy drodze:
wieś – w której niegdyś geniusz się narodził
i miasto w którym umarł głupiec

Były łąki wszerez których mieniły się kwiaty
i głązy które porastał mech –
I były lasy pełne śpiewu ptaków
i wody nieme od milczenia ryb

I były słupy na poboczach
złączone z sobą drutem – na którym jak na strunie
piórem – wicher rzewnie grał

Coraz z przestrzeni wybiegały
żywe zwierzęta – by w następnej chwili
rozwiąć się luźnym stadem zjaw

A gdzie się droga nagle mnożyła w ulice
z obu stron nisko kłaniały się jej
rudery i pałace –
i nieco dalej – gdzie się znów ścieśniała

cmentarne krzyże – życie i śmierć
– Wszystko – o wszystko było przy drodze:
radość i smutek – starość i dzieciństwo
póki się nie skończyła w jakimś

zupełnie obcym –
nieodgadnionym miejscu

OBRAZ

Jakże to dawno temu było
gdy ich spotkałem –
Wspomnienie czyste bez niedomówień
jak piękny obraz nieznanego mistrza

Szli rzędami
pochyłym polem nieco pod górę
w stronę zachodu –
Płonął już – łuną odbity w ich oczach

Na czele jednego z szeregów
ładna dziewczyna w buro-zielonym
mundurze – z bronią na ramieniu
machnęła do mnie rękę z pozdrowieniem

Trudno ich było nie podziwiać
tam – wtedy
pewnych zarówno siebie i zwycięstwa –
prostych i szczerych w swym zamiarze

I dobrze było ten czysty obraz
lśniący jak płomień zatrzymać w pamięci
jeszcze bez pytań – na które
próżno by szukać u nich jasnej odpowiedzi

Cóż mogli wiedzieć w tamtejszym czasie
zarówno o prawdziwej klęsce –
jak i o
niekłamany zwycięstwie – zacytowani mitem

I czy wiedzą dziś
jak przywrócić blask męstwu
na tym obrazie w mojej pamięci –
tak rychło obróconym podłym kłamstwem wniwecz

Czas szybko biegnie i płowieją barwy
dziś jeszcze w żywym – jutro w umarłym
pojutrze w nikim –
Kto w odległej przyszłości zdoła znaleźć prawdę

OSTATNI WYSTĘP

W odwiecznym chórze świata
i ja też jestem instrumentem
śpiewnego głosu
tylu postaci wywiedzionych z ziemi –
tylu pół-widm pół-ciał
zawieszonych w przestrzeni – zestrojonych w czasie

Szeptaleś przez me usta listku
śmiałaś się przez me oczy fontanno
porannych blasków i wieczornych treli
– Orałaś moje serce nawałnico grozy
organami zburzonych
kościółów

Jak na grzebieniu skalistych klifów
grały na moich rozwichrzonych włosach
przyływy i odpływy mórz
w te noce – które tocząc me sny
kruszyły śpiewnym grzmotem głucho milczenie gwiazd

Dobyto ze mnie wszystkie dźwięki świata:
niskie wysokie ciemne jasne
ciche i głośne –
które po teraz spłynęły we mnie
ze wszystkich czasów
wygnane z drętwej ciszy ostatecznie zgasłej

dla żywych serc – przeszłości –
Tak więc zostało mi jedynie
jak ptakom na odlocie – zaśpiewać tę ciszę
jak można najpiękniej – i nasłuchując
jej milknącego w pustej przestrzeni
echa – opuścić scenę

bez kwiatów bisów uniesienia –
bez oklasków

RZEKA

Długo iść trzeba było brzegiem
ciemnej rzeki
począwszy od jej źródła – co nagle wytrysło
życiem wśród nocy

Długo się trzeba było przedzierać
niepewnym krokiem przez czas
gęsty od zdarzeń – i przez przestrzeń niczym
ruchoma ściana wichru blokująca drogę

Stopy obrzękły od tego marszu
przez swoje i nie swoje losy –
i nieraz oddech podobny do jęku
chrypiał: Dalej już nie

mogę
– I opadały znużone ręce
a niespokojna myśl pytała: Dokąd –
i wtórowało jej w tym serce

drżące z obawy: – czy starczy życia
na osiągnięcie celu
gdzieś tam – dokąd zmierzała ta milcząca rzeka
krętym korytem

A jednak wystarczyło i tchu i kroków
– i oto stoi stary siwowłosy człowiek
nad morzem łaski –
w które się wnurza rzeka jego życia

DAREMNY SEN

Nie znam daty – wiem tylko że jest
jakiś poranek
na którym mnie wysadził pojazd snu –
Naprzeciw mnie pusty – jak po narodzeniu – dzień:
ogromna biała ściana

Ani szparki po gwoździu – nic
– Sama dla siebie jest rozproszonym
matowym światłem bez blasku i treści –
a ja wobec niej – znowu jak
noworodek

Błysnęła myśl: Mogę rozpocząć
nowe życie –
Dyskretny powiew wiatru rozchylił przede mną
dalsze puste dni
i kusił szeptem:

Zapisz je nowym sobą –
Spodobała mi się ta propozycja
i już zacząłem szukać pierwszego wyrazu
pierwszego ruchu – gdy wtem ta próżna
biel dnia

zaczęła gwałtownie napelniać się wrzawą
– i w ślad za nią – tłumem żywych i zmarłych
postaci na różnobarwnym tle –
Ktoś mnie potrącił – ktoś inny zapytał:
A ty – co tutaj robisz

Cóż mogłem odpowiedzieć temu komuś
tak bardzo zawiedziony wśród inwazji wspomnień
– Nigdy mnie nie uwieziesz
tak daleko śnie
bym mógł na ziemi zacząć nowe życie

KŁOPOT

Dziś – jak donoszą media
w kolejnej z rzędu katastrofie
lotniczej
zginęło ponad sto sześćdziesiąt osób

Ocalało tylko dziecko:
kilkuletnia dziewczynka –
I teraz oto jedynie z nim
jest kłopot jak z aniołem który spadł z obłoków

Na straży przy nim znak zapytania:
niepewna niańka losu –
i wyrok nieba w zawieszeniu
w ukrytym celu

O wiele prostsza sprawa z tymi co zginęli:
czas szybko wchłonie drżące w przestrzeni
echo śmiertelnej trwogi –
współczucie stłumią nowe wydarzenia

Tylko to dziecko które przeżyło
przyśni się sobie czasem aniołem – co pośród
łaskotu zleciał z obłoków na ziemię
i budząc się człowiekiem – zanim

w pełni oprzytomnieje
– czując dziwny niepokój rozgląda się wokół
ślepo –
i pyta wyłonionych z mroku ścian:

:
Gdzie jestem – co się stało –
Szamocę się przez chwilę jak uwięziony ptak
– by ukojone błogą ciszą
znowu pogrążyć się w sen

MIASTO

Wielu rękoma podparto to miasto
by nie runęło – podczas gniewnego
trzęsienia ziemi

Z tłumy serc przetoczono w nie krew i nadzieję
gdy omdlewało w grozie bitew –
porozrywane pociskami w strzępy

Łez strumieniami gaszono pożar
który pustoszył je od wnętrza –
i bezlitośnie smagał z zewnątrz płomieniami

Różaniec jęków wzbił się wraz z dymem
z mrocznych podziemi w oczadziałe niebo –
Runęło przygniotło

Deszcz zwilżył gruzy
słońce wysssało trupią z mrocznych piwnic wilgoć
– i trwa to miasto

niby koszmarne sen w zapomnieniu –
I nie wiadomo czego mu zabrakło
lub czego było w nim za wiele

TAJEMNICA POŚLUBNEJ NOCY

Rzeźbił młodzieniec swą ukochaną
skrzydlatym dłutem w wietrze –
Ubrał ją w szaty z jutrzenkowej przędzy
i ukoronował
księżycem w pełni

Ustawił ją na postumencie z rosy
w sercu wiosny
– i tchnął w nią mocą rozkochania
słowicze brzmienie głosu
i błękit nieba zakroplił w oczy

I cóż innego – jak nie
płatki polnych różyczek na dziewicze usta
by wyszeptaly upragnione: T a k –
O spójrzcie tylko królewskie krużganki
na biały obłok przed ołtarzem

„Poznał ją”
– tak delikatnie zwierza się z poślubnej
nocy Stary Testament – gdy zakochanemu
w swym dziele młodzieńcowi – z nagłą się
jawi kobietą obnażone bóstwo

– I bynajmniej nie marnym puchem
ale ciałem i żądzą

MIEDZĄ – GĘSIEGO

Przez tyle lat przebiło się wspomnienie
– Oto poranek jak dźwięczny kryształ
promienne niebo ponad uśmiechniętą ziemią
margines lasu – w górze
spiętrzony obłok

A my – dzieci
idziemy jedno za drugim jak gęsi
wążutką groblą – pomiędzy
falującymi morzami zbóż
w gwarny świetlisty świat

Dłonie muskają dojrzałe kłosa
śmieją się oczy
– spod bosych stóp tchnie rumianek i krwawnik –
Gdzieś nad wilgotną łąką przeciągle zawodzi
czajka

Nieznany cel wyprawy
– Ależ znany znany – byle dalej w to
urzekające zewsząd piękno –
Ponad głowami motyl jak flaga
cicho łopoce wiatr

I nagle w uniesieniu ten obraz przepada
w gwałtownie przez coś zamuśnionej
pamięci
niby tęczowy z wyżyn strącony ptak –
Wraca dorosłość – i wyłącza sny

PAŁAC NAJUBOŻSZYCH

Wzdraga się pióro przed opisem
rozdwaja myśl i uczucie –
Wielkie kanciaste ozdobne gmaszysko
w pustkowiu pośród kilku omszałych
stuletnich dębów

Żelazna brama aleja
obszerny podjazd mgła – jesienne liście
– Od czasu do czasu
przez kraty w oknach przeraźliwy krzyk
nie ludzki nie zwierzęcy

Wewnątrz – w pokojach
baniaste głowy ścięte czoła
konwulsyjne odruchy miotanie się – bezruch
niewidzące spojrzenia
chrapliwy bełkot – fetor wydaliny

Agresja iniekcja
rzemienny kaftan – i pokusa:
Uśpić na śmierć
– A oto tam twa córka nieświadoma siebie
bezgrzeszna święta anielska idiotka

Jednoczą się – myśl i serce
i razem klękają
przed tą świętością co tak bezwiednie
cierpi za błędy i winy nieswoje –
O nie oplakuj matko w swym synu anioła

ZASTRZEŻONY ORYGINAŁ

Są krajobrazy co w oryginale
pełne idyllicznej treści
wabiące wzrok
– za każdym razem skopiuwane
pędzlem czy piórem
już tylko grafomania – albo
bezduszny kicz

Tak stało się i teraz:
– błękitne niebo w górze – złota powódź w dole
zapach łąbinu –
i biały domek na łagodnej fali
porannego wiewu

Do tego dwa ozdobne
akcenty: skowronek pod obłokiem
róża przy ścieżce –
– Wszystko gotowe aby je utrwalić
w pogodnej strofie lub na ażurowej jak sen
beztroskiej akwareli

Ale to właśnie
nikomu dotąd się nie udało:
– zawsze kicz tylko albo grafomański wybryk –
Może za dużo jest przepychu
w tym oryginale –
lub nie potrafi dusza objąć naraz
tego co sobą przepelnia oczy
– Może –

W CIENIU NAFTOWEJ LAMPY

Nigdy nie wiadomo co
niespodziewanie chyłkiem się wytoczy
z graciarni wspomnień – i zaskoczy
nagłym wzruszeniem

Oto znów zakwitł jaskrawym światłem
stary żyrandol sprzed pół wieku:
– cudowna elektryczność –
koniec półmroczonej sennej koszmarnej epoki
naftowych latarń

Lecz choć w tym mocnym świetle szybko przybladł
szacowny mit Łukasiewicza
– to jednak czasem duszą
owłada jakiś cichy nieokreślony żal

że nigdy już się w mrocznych kątach
nie zjawia chwiejne olbrzymie cienie
najbliższych osób
– co zda się jeszcze tak niedawno temu
skupione wokół naftowej lampy
snuły plany na przyszłość która już minęła

I nie powróci w bujnej wyobraźni
malucha – ów ciekawski strach
o to co będzie – jeśli te mroczne
ogromne cienie
zaczną znienacka żyć swym własnym życiem

Te Dardanele – dziś jak ćmy
brutalnie wypłaszane z jasno oświetlonych
domów i mieszkań
ledwo słyszalnym pstryknięciem kontaktu

NIEDOKOŃCZONE RACHUNKI

Dni są szare posepne
a o pogodzie szkoda mówić –
Życie mknie w mgławą nieprzezierną przestrzeń
przez noc bez gwiazd

Gdzieś z końca świata zmaconą falą
razem napływa rażny śmiech i lament
– Samotna podróż –
nikt nie objaśni co tam jest

I nie potrzeba: z osobna wiadomo
czego się można po tym gwarze
spodziewać –
Tylko nikt nie jest pewien do jakiego chóru

dołączy tam u kresu
– Każdy się stara póki suną dni
zliczyć swe czyny dobre i złe: –
które przeważą

I tak aż do ostatniej chwili – w której
gwałtownie zatrzymuje się czas
na godzinie zero
a oni wciąż – wciąż nierozliczeni

Już tylko miłosierdzie boże
i zapomniana wiara

ZŁOTO OSIK

Nie wierzyłem oczom
a jednak oznajmiły prawdę –
i już nie wątpię
że najcenniejszym złotem pogodnej jesieni
jest drżące złoto osik

Zanurzyłem w nie ręce po łokcie
– Obok mnie na tle chłodnego błękitu
przystanął wiatr – i zbierał w przezroczyste dłonie
te ciepłe blaski
bo właśnie ciepło wyróżnia te skarby

Ciepła jest również popielatość
osiczynowych pni konarów –
gałązek: – ich
nieugaszony popiół

Licznie po złocie osik śmigają wiewiórki
niczym rude płomyki –
i stada czarnych ptaków skłaniają
ponury lot swój w stronę tej cieplarni

Dzięki ci październiku
za to złoto tak żywe – bo choć już bez dźwięku
obficie oszronione
– jeszcze ogrzewa i pociesza
na tuż przed zimą

MÓJ OJCIEC PIO

Ciche są twarze świętych –
Łatwo by można ponad ich głowami
nakreślić aureole
gdyż one już tam są – za ich życia
– I jeśli spotkasz któregoś z nich w tłumie
same – zdawałoby się – całkiem niewidoczne
bezbłędnie poprowadzą
twą kreślącą dłoń

Wystarczy nawet fotografia:
trzeba się tylko mocno wczuć w nią sercem –
Zdarzyło mi się to z podobizną
ojca Pio na długo
przed Jego śmiercią –
Wprawdzie nie ogłoszono Go jeszcze wtedy świętym – lecz
stał mi się nagle dziwnie bliskim na tym
przypadkowym zdjęciu w gazecie –
jeśli to był przypadek

Dla mnie z jego oblicza biła szczerść pierwszej
próby
– Przenikała przez szary papier – i
dokładnie wiodła me palce po jasnym
skrytym dla ócz kręgu
otaczającym Jego głowę

Jakże opisać tę duchową więź
która się wówczas zadzierzgnęła
pomiędzy nami –
Cóż ważyły czas przestrzeń – albo i to
że tu i ówdzie okrzyczano Go
błuzniercą i oszustem

Wkrótce po Jego śmierci przyszło zrozumienie
– że mimo woli sporządzono
(na tandetnym
gazetowym papierze)
portret na poły wyzwolonej duszy –
i jej niezwyklej potęgi
dla wsparcia chwiejnej nadziei świata
– Wszystko w Nim było z Pana i Brata – Jezusa:
i moc i znaki

ŚWIETLIK

Gdy spłynął zmierzch
wypadliśmy pod wpływem nagłego impulsu
rozśpiewaną gromadą –
z majaczącego w zieleni domu
w transcendentny mrok

O krok od chaty jakby dopełniała się baśń
kwitnącym sadem szumiącą ciszą –
gdy wtem – moja młodziutka żona
żywo schyliła się
nad ocienionym trawnikiem

Spójrzcie – szepnęła – jakie śliczne cacko
– I rzeczywiście tam gdzie wskazała
leżał na trawie siejąc blaskiem
na krecią piramidę
maleńki księżyc

Ktoś się roześmiał: Ależ to –
i nie dokończył – gdyż w tejże chwili
spod dłoni mojej żony
to cacko nagle jak błękitna skierka
uleciało

Nim zgasło –
jeszcze przez moment spoglądaliśmy na
małą zachwyconą dziewczynkę
której po raz pierwszy
w życiu – na tle baśniowym ukazał się świetlik

POKOLENIA

Nałożyły się staremu oku
w półśnie
na siebie młode dwa pokolenia – tak
że ujrzał je jako jedno:
zarazem własne – bardzo odległe
i terazniejsze

Złudzenie trwało chwilę – znikło gdy się zbudził
– Na jawie szybko odróżnił po wzroku
tych pełnych blasku chociaż umarłych –
i tych zgaszonych – żywych:
– Że stoją przed nim dwa zupełnie obce
sobie pokolenia

dziadów i wnuków – a między nimi
wrogi strzęp czasu
pokryty pleśnią kłamstwa – przyspawany siłą
fałszem zbrodnią i zdradą
do prawdy dziejów –
przesłaniający ją spojrzeniom

Mroźny świt wstawał nad kością niezgody
– i nad tą nędną relikwią
ludzkiej głupoty krzepła nienawiść –
jak ścięta gniewem krew w tętnicach
na dziś i jutro

ŚWIĄTYNIA

Karolowi Maliszewskiemu

Może zbyt długo patrzyłem pod słońce
na zabytkową pełną ozdób
świątynię –
Może dlatego nagle
wydała mi się wzniesioną z kości
tych wszystkich pominiętych – zakrytych milczeniem
prostaczków – co ją nigdyś wnieśli

jak modlitwę
dawno przebrzmiała w odległej przeszłości
– A oto teraz przed mym zdumionym
wzrokiem się pięły
potężne mury i wyniosłe wieże
spojone z kruchych szkieletów –
wszystkie bezimienne

Tylko na szczycie owej niezwyklej świątyni
niezależnie od stanu nieba
– jakbym je widział przez półmrok wieków –
wciąż zakwitały tłumy żywych dłoni
cierpliwie oczekując dopóki wcześniejsze
nie wzlecą i nie rozplną się
w prześwitującej jaśni

już niewidoczne dla ziemskiego oka –
Już niedosłyszalne

EKONOMIA DŁUGOWIECZNOŚCI

Od dziecka przeczuwałem
że będę dłużej żyć niż wielu – i
cieszyła mnie ta perspektywa
którą potwierdzał czas

Mijały lata a mój wewnętrzny
zegar – wciąż tykał głośno i rytmicznie
choć wokół mnie umarło tylu
młodszych ode mnie

Jeszcze do niedawna
nie zastanawiałem się po co
podarowano mi tę długowieczność –
Wpierw raczej podświadomie nim się ujawniły

kojarzyły się we mnie różne
poszczególne zdarzenia –
aż wreszcie – jakby odgadnięcie wróżby
ułożyły się w trafną odpowiedź

Nic nie było przypadkiem:
dodano mi te lata po to
bym uzupełnił to – co bez mej winy
wciąż pozostało nierozliczone

– i bez czego nie mógłbym
odejść stąd
tak spokojnie do mego Wierzyciela –
jak odchodzą doń wszyscy spłaceni dłużnicy

którzy dzięki łaskawie
udzielonej im prolongacie
zdołali się wywiązać ze swych zobowiązań –
i już bez troski zamknąć bilans życia

NA WIDOK KWITNĄCEJ GAŁĄZKI
VAN GOGHA

Co może wielka sztuka –
Wystarczyło przez chwilę popatrzeć
na kwitnącą gałązkę mistrza
van Gogha

aby nappełnić chmurny zimowy dzień wiosną
rozkwiecić w nim ogrody
zawiesić nad nim słońce – i rozciągnąć
czysty błękit nieba

Kim musi stać się człowiek – aby
tak wchłonąć w siebie krótkotrwały urok
i utrwalić go – bez skazy
farbami na płótnie

w taki sposób że – i w sto lat później
można ożywić nim ogrzać i
rozjaśnić
drętwą i mroczną porę – wyprzeć przygnębienie

Kim musi stać się człowiek
by ukraść bóstwu aż tak władne dzieło –
i taką jak Ty – mistrzu – zapłacić zań cenę
nie bacząc czy wygórowana

PODRÓŻ DACHEM POCIĄGU

Wyobraź sobie
segmentowany obły grzbiet pociągu
mknącego w czeluść ciemnej nocy
pod tnący wiatr

I wyobraź sobie skulonych ludzi
na obłym dachu między prętami
sunącymi równolegle wzdłuż
ciał – drżących od chłodu

To miała być mała podróż –
zaledwie trzysta kilometrów przez
wzburzony po dno
wściekły ocean mroku

I jeśli zdołasz – wyobraź sobie też
tęgą kobietę co w środku drogi
wypadła prosto z drzemki pod szalone koła
cicho – bez krzyku

A gdybyś jeszcze wyobraził sobie
te wszystkie sprośne „żarty” na temat nieszczęsnej
przy wtórze syku iskier
spod kół i tundra

to pewnie ujrzałbyś całą
okazałość piekła – tego w zaświatach i tego co w duszach
tak skrętnie ukrywaną przed niewinnym wzrokiem

Ale o tej imprezie
zadecyduj sam
– Ja wysiadam w Psiej Wólce daleko od przygód –
Spokojnie tu jak w bez-pamięci

WSZECHSTRONNY WIDOK

Zaokienne obrazy od lat takie same:
niebo ziemia i żywioł –
Z każdego można powrócić do domu
i w każdy można zawsze odejść
z nadąsaną miną
z pochmurnymi myślami

Każda z pór roku po swojemu je
ufarbujecie ocieni rozszepce rozdzwoni
– Pstryk – i utrwali
na kolorowej fotografii
dla tych co wyszli za złocone ramy –
by nie zapomnieli

Widok wszechstronny:
jesień wygania za morza ptaki
zima za nimi drzwi zamyka
wiosna je wita gdy do gniazd wracają –
– Zaokienne obrazy od zawsze te same
a tylko dom gdzieś przepadł

Może –
O nie domyślaj się niczego
stamtąd gdzie jesteś teraz lub gdzie ciebie nie ma
– Pozwól jedynie małemu dziecku
namalować od nowa
niebo i ziemię – żywy dym z komina

WCIAŻ ŻYWEJ

Przeczytałem dziś jeden
nieznajomy wiersz –
i nagle objawiła mi się
w prostocie słowa Elżbieta Drużbacka

Mogłaby być moją
pra – pra – pra – pra – pra – pra – babką
lecz ja pomimo to
zakochałem się w niej niczym

w promiennej łani o poranku
– Kłaniają nam się lasy i pola
kołyszą nas obłoki –
Tylko trzy wieki głucho milczą o Niej

i o tym naszym świętym nadczasowym związku
– Co do mnie to nie dziwi –
lecz Ona przecież – wciąż młoda brzoza
w której się ciągle burzą świeże soki

O jakże żywo przypomina
wszystkie niewieście starodawne cnoty
– Ta: – śpiewny wiatr – słowiańska Persefona –
A ja ów ptak – co chwałę jej opiewa

DEBIUT NIE W PORĘ

Czy dobrze to czy źle
że taka wątła jest tkanka snu –
że nazbyt głośny byle szmer po nocy
że podejrzana o podsłuch cisza

Przedziwnie się układa
senna myśl – kiedy z mroku wynurza się chyłkiem
szary pająk – i nigdy nie wiesz
co zamierza: okrutny – łagodny –

Kiedy dyskretnie cię zapędza
w tęczową sieć
– i sam rozpromieniony dwuznacznym uśmiechem
rozsypuje przed tobą bezładnie

nieodżałowane do końca
fragmenty przeszłości
i patrzy drwiąco – jak się – skrepowany miotasz
przed tym co jest – a było

I złe i dobre dręczy w równej mierze
jak przychepione do twych drętwych zmysłów cienie –
gwałtownie rwące się do biegu
w iluzorycznej terażniejszości

Byłbyś zgubiony
gdyby sen spętał cię stalową liną –
i gdyby nie ten nazbyt głośny szmer
i ta zdradliwa cisza

TYLE PYTAŃ

Kto niewidoczny płynie skroś wiosennej nocy
pod drżącym liściem – żaglem cienia –
Kto sowim wzrokiem przyświeca zbłąkanym
na bezdrożach świata

Dokąd zmierza księżyc – błądy kamyk
słonecznego odbłasku
w srebrzystym półpierzścieniu horyzontu za mgłą –
Po co pobiela groby

Co to za wiatr który zawiewa
gwiazdzistym pyłem bezkresne drogi –
i marszczy ciemną przestrzeń
rzewnie wtórując słowiczemu pieniu

Jaki magnes ukryty za czasu zasłoną
ściąga obłoki ku brzaskowi
jak stado żółwi –
ulotne a marudne

Tyle się pytań naraz mnoży
w bezsennej głowie
nim je lawiną gwaru zagłuszy
tętniący żywą treścią wiosenny poranek

POCHWAŁA BIBLIOTEK

To dziw – jak te sprzed lat
nieraz tak ciasne biblioteki mogły
pomieścić w sobie tyle tak różnych
niezwykłych światów

Tylko w stłumionych krokach i szeptach
czuło się wagę
tych miejsc – zasobnych w wielorakie
ludzkie przeżycia utrwalone w księgach

Ileż to razy wstępowało się do
ich zacisza
z nijaką codziennością – pustą wyobraźnią
aby wyjść z niego w krainę przygód

I oto nagle człowiek –
zapominając o swej szarej egzystencji
bez reszty stawał się uczestnikiem
pasjonujących zdarzeń – sytuacji

I nie żał było wzroku ni bezsennych nocy
gdy żadna inna rzeczywistość –
nawet ta – która grozą napełniła
struchlałe źrenice

nie przewyższyła tamtych doznań
– i nawet dziś – w epoce tv internetu –
ludzie znużeni serwowaną przez nie
sztuczną powszedniością

wciąż jeszcze spieszą do bibliotek
po niecodzienność –
aby jej zaznać tak jak antenaci
choć nieświadomi co ich do tego nakłania

ŻONOM U KRESU

Co odpowiedzieć najbliższym
osobom
związanym z nami świętym sakramentem
gdy postarzałe płaczą – widząc
jak się rozprasza dorobek życia
wali się dom – i
już ostatecznie wygasa ogień

Co można odpowiedzieć trwożnym – czując równie mocno
rozkład i spustoszenie
– Czy nam uwierzą kiedy im powiemy
nie widząc jutra: Pan was – tak nędzne
czule przygarnie

Czy posłuchają zrozpaczone
struchlałe jak Niobe
– głuche na słowa
pytając wzrokiem: Co dalej będzie –
rady:
– Płaczcie nieszczęsne – obmyjcie się łzami
przystrójcie cierniem –
Bo jeszcze tylko czarna jak próg nocy chwila
i dusze wzlecą w niebo

IN STATU NASCENDI

Tylko w tych chwilach wiosennych
świtań po deszczu
gdy ścicha w dali pomruk burzy –
a tu przez łąki pola i lasy
biegnie świetlista fala

Tylko w tych chwilach nie do zapomnienia
świat się przedstawia zachwyconym
stworzeniom
takim – jak był nim w dniu swych narodzin
w zamyśle bożym

Wszystko się pieło ku błękitom
i jedna była tylko muzyka –
porannej rosy
– i jeden śpiew w nizinie i na wysokościach:
pochwalny hymn owadzi

Niewiele pozostaje z tych chwil
na szare dni
utrudzonym – wytrwale zmagającym się
z coraz to nowym wyzwaniem epok
ponad mgliste przecucie

A jednak popatrz na tę skrę –
i na to na czym promiennie rozbłyśka
tak mocno – że się sercom żywo przypomina
tamta poranna chwila – i świat
in statu nascendi

Bo jedni krzyczą: Przedziwna gwiazda
a drudzy szepcą: Bóg się narodził

PASTORAŁKA

W święta Bożego Narodzenia
szedł niedźwiedź lasem – przystanął przy krzewie
– i zapytał:
Czy wierzysz sestro kruszyno w Boga –
Wierzę – szepnęła

Niedźwiedź pokiwał wielką głową
i ruszył ku polanie:
– zatrzymał wilka – powtórzył pytanie –
Wilki błysnęły kłami lecz rzekł pokornie:
Nigdy weń nie zwątpilem

Wyszedł niedźwiedź przed las
spotkał śmieciuchę:
– A ty – mała – czy wierzysz w Wszechmocnego –
A jakże by inaczej – ćwierknęła
i poleciała do wsi

Udał się niedźwiedź za nią – napotkał trzech ludzi
– łagodnie mruknął: Pochwalony –
Jeden z nich burknął: O kogo chodzi
drugi mu odpowiedział:
Na wieki wieków – trzeci spojrział drwiąco

Zaszył się niedźwiedź z powrotem w las
i kontemplując jego niezmaconą ciszę
białą odświętną –
zasnął słodko w wykrocie
pod ośnieżoną leśną choinką

POWIASTKA O ŻOŁNIERZU
MATCE I WOJNIE

Wojna –
A oto się krzyżują rozkazy
jasne i ciemne

Nie ma nic bardziej okropnego
przeciwnej naturze
niż – gdy poluje człowiek na człowieka

Przywykniesz – mówi stary żołnierz
do młodego
– i spokojnie zasypia pod nawałą ognia

Obok nich bieżą
ślepi od dymu – głusi od wrzawy
przeciwko sobie umarli i żywi

Wciąż się krzyżują z sobą niczym błyskawice
ciemne i jasne – i nieustępliwe
przeciwne sobie rozkazy

I zanim młody przywykł –
już ponad jego rozszarpanym ciałem
przetoczyła się burza – i w rozmiękkłą ziemię

której nie zdołał sobą osłonić
wsiąkkła krew jego
zarówno na pożytek łanom zbóż i chwastom

Zapomnij synu – szepnęła matka
odmawiając zań pacierz –
że przebywałeś kiedykolwiek

jeszcze gdzie indziej niż poza mym łonem
co jest jak gniazdo puch i kolebka –
i boża łąka

Zapomnij – zapomnij synu –
zaklina tak – i wciąż spogląda – wciąż wstrząsana płaczem
na uśmiechniętą jego fotografię

NIEZAPOMNIANY DZIEŃ

Kto był przytomny w tym dniu majowym
odległym w czasie –
z całą pewnością bez uszczerbku
do dzisiaj go pamięta

O jakże lekko ciąży we wspomnieniu
miodową kroplą – nim skapnie pełnym
czaru obrazem
– Tylko patrz i podziwiaj –

Oto pobudka fletem wilgi
– i już go widzisz jak się rażno zrywa
w dąbrowie z mchu
gotów się z miejsca ścigać z porannym wietrzykiem

O jakże przezroczysty
skoś prześwietlony słonecznym blaskiem –
jeszcze dziewiczy – prawie marmurowy
z nagim pisklęciem w jednej – pękiem w drugiej dłoni

Jeszcze chłodny: – z wolna nabiega krwią
rozognia żądzą – południowym żarem
w mgle zieleni – by jako Bakchus
rozdyszeć się w niej orgią

Jakaż to rozkosz naraz w sobie poczuć
gwałtowne lgnięcie do siebie wszystkich
skrajnych przeciwieństw – i wśród zdruzgotanych zbroi
usłyszeć nagle jęki poczęć

Cicho teraz
– Tylko podściel mu łąkę i rozpostrzyj niebo –
i rozsnuj szum owadzi ponad
jego uśpioną głową

I jeszcze widać go w wspomnieniach
na tle słowiczym jak odchodzi w zmierzch
za słońcem – a wkrótce tylko rozmigotane
skry jego doznań wśród namiętnej nocy

PODRÓŻ ŚW. FAUSTYNY

Pociąg którym jechała niegdyś
święta Faustyna –
biegł naraz po trzech torach
przez trzy krainy

Przez przytłumiony niebem sen
przez pospolitą zmienną rzeczywistość –
i przez ten trzeci żywy krajobraz
nad-rzeczywisty

W przestrzeni snu stukały koła
ktoś wsiadał – ktoś wysiadał na którymś przystanku –
szmerem toczyły się czyjeś rozmowy
upływał czas

W przestrzeni zmiennej rzeczywistości
świeciło słońce
prezentowało się doczesne życie –
i na przemian sunęły bitwy bale znoje

W przestrzeni nad-rzeczywistości
złote anioły stały na świątyniach –
i nad pańską służebnicą w drodze
czuwał archanioł

NADZIEJA OGRODNIKA

Stoję nad tobą niepozorna
roślino – z trudem gramoląca się
na światło dzienne z ziemi –
i mimo woli
biorę na siebie całą twoją przyszłość

Nigdy i nigdzie więcej oprócz chwili śmierci
nie gromadzi się naraz
tak wiele sprzecznych uczuć i myśli –
jak wobec nabożeństwa czyichś
narodzin

Wokół wesołość napęlnia poblize –
a tam już w dali ważą się losy
jak drwiący śmiech hieny – i jak śpiew słowika
– i z jeszcze całkiem pustej dłoni
wiatr usiłuje już coś wywiewać

Stoję nad tobą
kielkująca roślino
– i gdy ty patrzysz ufnie w wysklepione niebo
ja na swych barkach czując wieko trumny
biorę ten ciężar twój na siebie

Czyż nie wypada ogrodnikowi
żyć nadzieję –
iż Stwórca patrząc na ów trud serdeczny
pozwoli kiedyś ludzkiej tak troskliwej duszy
przesadzić cię na wieczną glebę

PTAK I PIORUN

Do gniazda pośród skał i agaw
w spiętrzonych górach – nie wiem: Andach Kordylierach
powracał kondor
płonącym szlakiem wieczornej zorzy –
Jego cień na nizinach

Z przeciwnej strony w tym samym kierunku
jak sztylet owinięty w chmurę
lub żądło w zmierzchu –
ponad szczytami gór sunął piorun:
Jego błysk na świątyniach

Obce pacierze bezdusznym
zbędne żywiolom
– A jednak kondor tknięty niepokojem
do kogoś zakwilił –
Jego daremna skarga pod gasnącym niebem

I ptak i żywiol dopadły razem
– Czy wiedziałeś piorunie że spalając wszystko
wokół – spalisz i siebie –
Nie ma już gniazda pośród skał i agaw
Nie ma już nic

Tylko leciwy indiański szaman
badając dawne ślady – i słysząc odległe
kwilenie – wierzy
że nadal słyszy żywy głos kondora
nad prerią Manitu

WBREW SCEPTYKOM

I my i ziemia i kosmos:

– wszystko co karmi chwilę
podniosłym twórczym niepokojem –
wszystko to jest zarazem zwykłe i cudowne

Wciąż się przenika

widzialne z niewidzialnym –
niczym odwieczna zabawa w dzień i w noc
w ograniczonym polu zmysłów

Wbrew sceptykom

człowiek się jednak uczy na błędach
– i to co nie-umiane dzisiaj
będzie umiane jutro

Promienna jest przyszłość:

– oto już pasterz podnosi do ust
czarodziejską piszczałkę
i przywołuje srebrnym dźwiękiem słońce

Ujarzmi człowiek wiatr

okiełzna chmury
– i wdroży napęd myśli do kosmicznych aut –
zapomni mroczny jaskiniowy sen

Przejrzy się w lustrze bezramnej przestrzeni

i wreszcie ujrzy siebie w nim
– zrzucając z grzbietu zdartą skórę krwawej bestii –
żywym obrazem Boga

Nota o autorze

Jan Przybysław Majewski pochodzi z Łukowa na Podlasiu. Urodził się 27 stycznia w rodzinie urzędniczej. Ojca stracił w niemieckim obozie koncentracyjnym. Podczas okupacji pracował jako robotnik, uczył się na tajnych kompletach. Wiosną 1944r. był w oddziale partyzanckim BCH. Szkołę średnią ukończył w czerwcu 1945r., studia medyczne na AMG – w 1950. Jako lekarz pracował początkowo na wsi, potem w szpitalu psychiatrycznym w Kocborowie. Ożenił się w 1953r. i ma 3 synów, z których najmłodszy jest niepełnosprawny po okołoporodowym porażeniu mózgowym. J.P. Majewski zaczął pisać wiersze w 17 roku życia, wkrótce jednak porzucił tę twórczość na rzecz pracy zawodowej. Powrócił do niej na emeryturze. Jest autorem 7 tomików wierszy. Niektóre z jego utworów były drukowane w „Słowie powszechnym”, „Dzienniku bałtyckim”, „Autografie”, „Dekadzie literackiej”, „Toposie”. Mimo podeszłego wieku nadal wzbogaca swój poetycki dorobek, zachęcony dobrym przyjęciem przez osoby kompetentne. Między innymi przez: Julię Hartwig, Teresę Ferenc, Krzysztofa Lisowskiego, Krzysztofa Kuczkowskiego, Karola Maliszewskiego, Adrianę Szymańską, Andrzeja Grzyba.

Tomy wydane::

- „Wiersze starego psychiatry” - 1992.r.
- „Berło z leszczyny” - 1996 r.
- „Pan pejzażu” - 2000 r.
- „Podmiot i figura” - 2002 r.
- „Pacierz biedronki” - 2005 r.
- „Wiersze wybrane” - 2007 r.
- „Wszystko było przy drodze” - 2009 r.

Spis treści

Do mojej ciekawości.....	1
Widzenie.....	2
Kukułka.....	3
Tych dwoje.....	4
Obraz pożegnań.....	5
Gromadnie i pojedynczo.....	6
Piosenka o Ikarze.....	7
Nie złapiesz – nie zatrzymasz.....	8
Trzy mogiły.....	9
Zawilce.....	10
Krowy.....	11
Złudne podobieństwo.....	12
Zjawa.....	13
Ballada o igle.....	14
Goście.....	15
Życie i ziemia.....	16
Żuk.....	17
Wyrok na ciało.....	18..
Rocznica.....	19
Brzozowe wieczory.....	20
Ostatnie życzenie Casanovy.....	21
Bezśnieżna zima.....	22
Okupacyjny epizod.....	23
Oświecenie kulisa.....	24
Miłość znika i wraca.....	25
Wejście w ocean.....	26
Obca ziemia.....	27
Dwa oblicza pogaństwa.....	28
Neonowa ulica.....	29
Błądząc wzrokiem.....	30
Skąd wiedziałem.....	31
Diplopia.....	32
Pogwarki o śnieżnej Pani.....	33
Tresura ciał.....	34
Marzec jak pisanka.....	35
Myśląc o Erice.....	36
Najcenniejsza radość.....	37
Smutna podróż.....	38
O Duchu Świętym.....	39
Czarny staw.....	40
Syn pułki.....	41
Gleba.....	42
Listopadowe słońce.....	43
Ostatnie grzybobranie.....	44
Ciało ruin.....	45
Własny wkład.....	46
Mówiąc Ojczy.....	47
Nieufny świat.....	48

Starym małżonkom.....	49
Wiersz dla Trzech.....	50
Stoki.....	51
Pacierz zabłąkanych.....	52...
Pamięci Jaroslava Seiferta.....	53
Za mało.....	54
Wtedy idź –	55
Ognisko.....	56
Dziwny chłopiec.....	57
Odwiedziny zieleni.....	58
Brzemienne.....	59
Rada na drogę do –.....	60
Sukces aniołów.....	61
Do sumienia.....	62
Wojna o śpiew.....	63
Ta sama ziemia.....	64
W innym świecie.....	65
Marynie Cwietajewej.....	66
Zdrowe zmęczenie.....	67
Dopiero wtedy.....	68
Pogrzeb.....	69
Wola i ziemia.....	70...
Nad grobem samobójcy.....	71
Stacyjka.....	72
O ufności.....	73
Odległe wspomnienie.....	74
Moje myśli.....	75..
Wielkie oczy.....	76...
Skarga nieznanego żołnierza.....	77
Misja Sokratesa.....	78.
Zaczarowane miasteczko.....	79
Współ-czucie z oddali.....	80
Oba przypadkiem.....	81
Przekomarzanie z Bogiem.....	82
Petenci.....	83
Pomiędzy.....	84
Wiatr przedwiośnia.....	85
W przepływie czasu.....	86
Okrągłe daty.....	87
Widna noc.....	88
Nie kończ – jeżeli.....	89
Między wczoraj a dziś.....	90
O królu zimy – bałwanie	91
Rozważna twierdza.....	92
Już wiem.....	93
Legenda o kaczeńcach.....	94
Opowieść ćmy.....	95
To nie tu.....	96
Żywe przypomnienie.....	97
Stąd.....	98
Wiejskie pory.....	99
Rezygnacja.....	100

Czas i dom.....	101
Skojarzenie.....	102
Stopy i ziemia.....	103
Mój ocean.....	104
Podróże do niedaleka.....	105
Psotna śmierć.....	106
Kwiaty pustyni.....	107
Amaranty.....	108
Do Hoimara von Ditfurth.....	109
Spotkania z matką.....	110
Zimowa fantazja.....	111
Do poranku.....	112
Wymuszona dorosłość.....	113
Bez zdziwienia.....	114
Po operacji.....	115
Mandragora.....	116
Aby posiąść ziemię.....	117
Rozmowa w obłokach.....	118
Powieść i życie.....	119
Labirynt.....	120
Przemienienie.....	121
Na pustej drodze.....	122
Las zimą.....	123
Alleluja – Judyto.....	124
Przepowiednie filmy.....	125
Mała wielkość.....	126
W węzle czasu.....	127
Pierwszy pocałunek.....	128
W zimnych ścianach.....	129
I mnie dziś tak.....	130
O kosmicznym pędzie.....	131
Aria w kuchni.....	132
Nie do opisania.....	133
Pochwała wody.....	134
Spojrzenia dżungli.....	135
Przecucie trwania.....	136
Chwile.....	137
O lęku istnienia.....	138
Przy drodze.....	139
Obraz.....	140
Ostatni występ.....	141
Rzeka.....	142
Daremny sen.....	143
Kłopot.....	144
Miasto.....	145
Tajemnica poślubnej nocy.....	146
Miedzą – gęsiego.....	147
Pałac najuboższych.....	148
Zastrzeżony oryginał.....	149
W cieniu naftowej lampy.....	150
Niedokończone rachunki.....	151
Złoto osik.....	152

Mój ojciec Pio.....	153
Światek.....	154
Pokolenia.....	155
Świątynia.....	156
Ekonomia długowieczności.....	157
Na widok kwitnącej gałązki van Gogha.....	158
aż dachem pociągu.....	159
Wszechstronny widok.....	160
Wciąż Żywej.....	161
Debiut nie w porę.....	162
Tyle pytań.....	163
Pochwała bibliotek.....	164
Żonom u kresu.....	165
In statu nascendi.....	166
Pastorałka.....	167
Powiatka o żołnierzu matce i wojnie.....	168
Niezapomniany dzień.....	169
Podróż św. Faustyny.....	170
Nadzieja ogrodnika.....	171
Ptak i piorun.....	172
Wbrew sceptykom.....	173